

nr 7 grudzień 2015

egzemplarz bezpłatny

PRZEZ
PRYZMAT

miesięcznik społeczno-kulturalny

Wciągnęło mnie radio

Taniec w mieście boogie

Doświadczenie autyzmu

Boży Szaleniec

Światłocienie i półtony

Śpiewane, migane

Projektant na budowie

ISSN 2449-5549

Katarzyna Fronc



Licz, nie kalkuluje

Statystyka i ekonomia, zarówno ta w wymiarze mikro, jak i makro, były moimi studenckimi zmartwieniami. Przez te ściśle przedmioty (do dziś w głowę zachodzę, dlaczego przytrafiły się akurat mi) nie mogłam beztrudno bawić się na juwenaliach i waletować po akademikach. Już. Powiedziałam to głośno. Teraz, po latach, pamiętam to jak przez mgłę. Miesiące spędzone z nosem w książkach, nad krzywym popytym i podaży, nad wyznaczaniem median, analizowaniem histogramów... Cóż. Nie ma co się nad tym rozwodzić ani podliczać zysków i strat (są i te, i te, jak to zwykle w życiu bywa). Wykułam, zaliczyłam. I rozumiałam... że liczyć trzeba, ale nie przeliczać. Głowa od tego rozboleć tylko może.

Liczyć warto, ale niekoniecznie zyski i korzyści. Humanistyczne zwichrowanie, używanie z większą częstotliwością prawej półkuli (i inne takie przypadłości) każą mi myśleć o liczeniu w znaczeniu: wiary (w kogoś), nadziei (na coś), mniemania (że). Kto tak ma, wie, że pieniądze się go nie trzymają, procenty nie rosną, a konta zerują. Ale...

No właśnie. Jak głosi przysłowie: „nie samym chlebem”. Tak jest z naszym magazynem. Wiercie sobie, Państwo, lub nie, świadomie i celowo używam tego określenia, nie zważając na niewystarczającą ilość stron, choć tak – przeliczam je, głowiąc się, ile jeszcze artykułów moich kolegów pomieszczą. Wierzę, że kiedyś pomieszczą więcej, bo nie chciałabym (licząc znaki) ciąć tekstów, ograniczając tym samym twórczą swobodę i kreatywność kogokolwiek z naszego redakcyjnego zespołu. Chyba nie jesteśmy normalni – nie przeliczamy znaków na płatną wierszówkę. Naszym wynagrodzeniem jest Państwa zainteresowanie i miłe słowa. Budujące komentarze. To sprawia, że wierzę (liczę), że będzie nas więcej. Skłaniają mnie do tego statystyki (tak, tak, nie przejęczyłam się). Dobrze wróżą.

Cenię ludzi, którzy robią coś dla idei. Czasem do tego dokładają, bo wierzą, że warto. Nie dlatego, że to się opłaca, ale z czystej potrzeby serca.

Tego – wiary w ludzi i ich dobre intencje – z okazji świąt i rozpoczynającego się za chwilę kolejnego roku życzę Wam, drodzy Czytelnicy.

Dziękuję wspierającym (serdecznie). Pozdrawiam tych, którzy z nami nie wytrzymali (szkoda). I zachęcam do lektury grudniowego wydania miesięcznika „Przez Pryzmat” (nie pożałujecie). <

WYRYSOWANE

To święta – Paweł Cajgner 3

FELIETON

Sylwestrowe przepychanki

– Gabriela Kuc-Stefaniuk 4

Nie porównuj, doceniaj

– Błażej Użyczyn 5

SZTUKA

Powrót kwestarza

– Violetta Jarząbkowska 6

WYWIAD

Wciągnęło mnie radio

– rozmowa Edyty Tyszkiewicz 7

TANIEC

W mieście boogie – Jakub Jańczuk 9

PASJE

Ekozabawa – Justyna Kirczuk 10

EDUKACJA

Doświadczenie autyzmu

– Katarzyna Fronc 11

LUDZIE

Boży Szaleniec

– Małgorzata Brodowska 12

HISTORIA

Z Białej do Blackpool

– Maciej Pytka 14

BIZNES

W sklepie z pamiątkami

– Edyta Tyszkiewicz 15

KULTURA

Światłocienie i półtony

– Gabriela Kuc-Stefaniuk 16

INTEGRACJA

Śpiewane, migane

– Małgorzata Brodowska 17

WYWIAD

Projektant na budowie

– rozmowa Jakuba Jańczuka 18

OD KUCHNI

Smaczny wehikuł czasu

– Małgorzata Tymoszek 20

PSYCHOLOG

Między altruizmem a egoizmem

– Karolina Laszuk 21

DZIEJE SIĘ 22

DZIAŁO SIĘ 23

PRZEZ
PRYZMAT

Osoby i firmy pragnące dołączyć do grona naszych mecenasów i sponsorów
lub chcących zamieścić reklamę na łamach „Przez Pryzmat”,
prosimy o kontakt mailowy – przez-pryzmat@o2.pl lub pod nr tel. 668 151 967.

Redaktor naczelna: Katarzyna Fronc

tel. red. 668 151 967.

www.facebook.com/przez.pryzmat.2015, e-mail: przez-pryzmat@o2.pl

Redakcja: Renata Szwed, Gabriela Kuc-Stefaniuk, Edyta Tyszkiewicz, Małgorzata Brodowska, Justyna Kirczuk, Małgorzata Tymoszek, Karolina Laszuk, Jakub Jańczuk, Błażej Użyczyn, Dominik Masalski, Paweł Cajgner.

Fot.: Grzegorz Doroszek. Okładka: J. Bogacz/TVP

Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A

Wydawca: OPENPRESS s.c. M. Krekora, W. Szawarniak www.openpress.pl

Treści zawarte w czasopiśmie „Przez Pryzmat” chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

Nakład: 3000 egz.

Bez żartów. To święta!

Żarty na bok. To święta!



rys. Paweł Cajgner

To podobno choinka z nami, podobno redaktorami, rysownikami, popakowanymi skrycie pod choinką prezentami.

Sylwestrowe przepychanki



Gabriela Kuc-Stefaniuk

W związku ze zbliżającym się sylwestrem zapytałam znajomych o plany na ostatni wieczór 2015 roku. Przepytawka podsyta zwykłą ciekawością zamieniła się w badanie socjologiczne, przekształcając się momentami nawet w analizę kulturowo-antropologiczną. Zaczęłam od sąsiadki: – Eee, ludzie czują jakiś przymus świętowania – usłyszałam. – Nie, ja w tym roku nigdzie nie idę. Zostanę w domu, zrobię paznokcie, maseczkę, będę oglądać

telewizję. Tylko co w tej telewizji? Co roku to samo... A skoro zrobię już te paznokcie, to właściwie zostanie już tylko machnąć fryzurę, wskoczyć w kieckę i można gdzieś iść. No bo co będę siedzieć sama w domu? – Zainspirowała mnie pani! – wykrzyknęła sąsiadka. Dumna z siły swojej inspiracji zadzwoniłam do przyjaciółki. – I co z sylwestrem? – zapytałam. – Weź daj spokój! Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, czemu zadręczamy się tymi wszystkimi sylwestrami? Bo zagłuszamy w sobie poczucie, że się starzejemy! Tak, kochana! To jest pierwotny lęk przed przemijaniem! I ten, kto idzie na bal, i ten, kto się nałoi na placu Wolności, wszyscy mają taką samą, wewnętrzną, nieuświadomioną motywację! Zaniemówiłam. No cóż, koleżanka robi doktorat, jest na ostatnim roku i ciągle powtarza, że nie zdąży, więc rzeczywiście, może złą osobę zaczęłam.

– A pani, pani Kasiu? – zapytałam ekspedientkę w sklepie. – Gdzie pani idzie na sylwestra? – A gdzie w Białej można iść na sylwestra?! – oburzyła się pani Kasia. – No chyba jednak jest trochę miejsc – zauważyłam. – Ale wszędzie jest drogo i nudno – zawyrokowała pani Kasia. – Czyli nic mi pani nie polecisz? – Nie – usłyszałam. – Ja uznaję tylko domówki. Przynajmniej nie muszę przez całą noc wciągać brzucha. – Idziemy na maraton do kina – oznajmił mój kuzyn. – Nie! – zaprotestowała gorąco jego dziewczyna. – Ja chcę iść na bal! – Ale ja nie umiem tańczyć – zaczął się bronić wielbiciel filmów. – A ja nie będę się opychać popcornem przez cały wieczór – odpaliła ona. Zostawiłam im tę kwestię do rozwiązania i ulotniłam się przedziutko. – Jakie macie plany sylwestrowe? – zagaiłam w Internecie. „Będę spał, bo w Nowy Rok biegam” – od-

piisał klubowicz Biała Biega. „Robimy imprezę tematyczną – w tym roku obowiązuje motyw z ruskich bajek. Wpadajcie!” – zaprosiła mnie szalona terapeutka. Potem pojawiło się kilka osób, które zarezerwowały już miejsca w popularnych restauracjach, kilka, które wyjeżdżają do innych miast. – Zaczekam na ostatnią chwilę – stwierdziła młodziutka manikiurzystka. – Najlepsze są spontaniczne imprezy! – A ja wyjeżdżam na sylwestra? – zapytał mój synek. Usłyszawszy, że zostaje w Białej, upewnił się: – Będziemy pilnować, żeby się nie zrobiła żółta? Albo niebieska? Albo zielona... – Tak, każdego motywuje co innego. Niezależnie od tego, co Państwa będzie motywować, życzę: szalonej albo spokojnej zabawy, wytrwałości w... lub braku konieczności wciągania brzucha, góry lub zera popcornu, spokojnego snu lub energii do białego rana. I żeby nasza Biała była biała. ◀

Nie porównuj, doceniaj



Błażej Użyczyn

Choć grudzień, daruję sobie Ci Wam, drodzy Czytelnicy, tematyki związanej ze świętami Bożego Narodzenia. Napiszę za to o sporach i kłótniach, jakich na pewno każdy był kiedyś świadkiem. Zacznę jednak od początku. Zdarza mi się korzystać z osiągnięcia techniki XX wieku, a mianowicie z kina. Kilka dni temu byłem ze znajomymi na seansie filmu, który jest ekranizacją dość znanej i poczytnej powieści. Zwyczajowo potem ze znajomymi udaliśmy się do jednej z białskich kawiarni. Kiedy wszyscy już usadowili się na swoich miejscach i zamówili, co tam chcieli, rozgorzała standardowa w takich sytuacjach dyskusja o wyższości książki nad ekranizacją. Znacnie to, prawda? Ileż to razy, gdy do kin wchodzi ekranizacja jakiejś powieści, jak świat długi i szeroki toczą się spory, że film nie oddaje wrażeń i charakteru książki. Jak fala tsunami wzbierają się głosy krytyki, a fani przeniesionej na duży ekran pozycji literackiej wylewają łzy nad nieudaną ekranizacją. Może ktoś z Was sam znajdował się w sytuacji, gdy opuszczając kino po obejrzeniu filmu opartego na ulubionej książce, doznawał uczucia rozczarowania, a wręcz zniesmaczenia wynikającego z faktu „zepsu-

cia takiej historii”? Chciałbym dorzucić swoje trzy grosze. Wszystkie takie głosy są w moim przekonaniu głosami błędnymi, a inicjowane przez nie dyskusje są jałowe, nic nie wnoszące i nikomu niepotrzebne. Dzieje się tak dlatego, że ujmując sprawę najogólniej, literatura jest innym medium niż kino. Powieść to zupełnie inny środek wyrazu artystycznego niż film, a każde ich porównywanie jest pomyłką. Czytając książkę, kontemplujemy ją w innych warunkach, czy to w przytulnym i ciepłym domu w jesienne wieczory, czy też w autobusie w drodze do pracy. Izolujemy się od bodźców zewnętrznych, a skupiamy na naszym wnętrzu. Utożsamiamy się z bohaterami czytanego tekstu, a wyobraźnia, pracując na pełnych obrotach, rysuje nam w umyśle ogromną przestrzeń wirtualnego świata, powodując, że istniejemy tylko my i nasze emocje wywołane przez literaturę. Tymczasem film oddziałuje na zupełnie inne obszary wyobraźni, pobudzając jednakże ogromną ilość emocjonalnych strun. W filmie znaczenie mają kolor, szerokość i budowa kadru, muzyka i jeszcze kilka innych detali, które nasz umysł składa w całość. Powoduje to, że ta

sama historia opowiedziana w książce będzie odbierana przez nas zupełnie inaczej niż opowiedziana za pośrednictwem ruchomego obrazu. Konkludując, warto czytać książki, ale i oglądać filmy. Upraszam jednak, by przed rozpoczęciem każdej takiej przygody, czy to z literaturą, czy też z jej przełożeniem na język obrazu, nie programować się z góry na porównywanie. Bądźmy otwarci na to, co daje nam jedno i drugie. Czerpmy pełnymi garściami i jeśli pojawiać się w nas będą krytyczne uwagi, to nie budujmy ich na przeciwstawianiu jednej formy wyrazu artystycznego drugiej, tylko na własnych uczuciach, jakich doznaliśmy w kontakcie ze sztuką. Nie usprawiedliwiamy się ograniczonymi możliwościami. W Białej Podlaskiej mamy sporo możliwości kontaktu z kulturą, sztuką, literaturą... Mamy przecież dużą i dobrze zaopatrzoną bibliotekę, kilka jej filii w całym mieście. Od ponad roku są u nas dwa kina, które konkurując różnorodnością repertuaru, zapewniają nam dostęp nie tylko do hollywoodzkich produkcji realizowanych za miliony dolarów, ale też do bardziej alternatywnych i ambitniejszych przedsięwzięć kinematograficznych. Każdy znajdzie coś dla siebie, wystarczy poszukać. ◀

„Warto czytać (...), ale i oglądać (...). Upraszam jednak, by przed rozpoczęciem każdej takiej przygody, czy to z literaturą, czy też z jej przełożeniem na język obrazu, nie programować się z góry na porównywanie. Bądźmy otwarci na to, co daje nam jedno i drugie.

Karczma Rycerska

ZAPRASZA NA Bal Sylwestrowy

GODZ. ROZPOCZĘCIA: 20:00 - 4:00
zagra zespół SYSTEM

- menu zawiera -
6 dań serwowanych w tym 5 dań gorących
bufet potraw zimnych i deserów
wino musujące
wódka czysta 0,5L/para
napoje zimne
napoje gorące

cena 360zł/Para

MECENASI I SPONSORZY



PRYWATNY GABINET PEDIATRYCZNY
LEK. RIAD HAIDAR

PRYWATNA PRAKTYKA
STOMATOLOGICZNA
G. i D. MAKAREWICZ

Twój Tekst
tworzenie • korekta • tłumaczenie



Powrót kwestarza

Violetta Jarząbkowska

Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej od 1975 r. tworzy kolekcję tematyczną „Konie, jeźdźcy, zaprzęgi w malarstwie polskim XIX i XX wieku”. W ubiegłym roku wzbogacił ją obraz Włodzimierza Łosia „Sanie przed bramą”, a w tym – dzieło wybitnego artysty Alfreda Wierusza-Kowalskiego. Został kupiony dzięki dofinansowania z programu „Kolekcje muzealne” Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zgromadzone w białskim muzeum wspólczesne prace, w których koń jest głównym motywem, zainspirowały do poszerzenia zbioru o dzieła artystów tworzących w XIX i w pierwszej połowie XX w. Na pojawienie się tej tematyki w zbiorach muzeum miały wpływ Ogólnopolskie Plenery Malarskie odbywające się w latach 1975-1998 w Janowie Podlaskim. Do 1991 r. muzeum zakupiło ponad 70 prac znakomitych polskich malarzy. W latach 90. XX w. kolekcja prezentowana była na wystawie stałej. W wyniku zmiany ekspozycji obrazy trafiły do magazynu i pokazywane były tylko okazjonalnie na wystawach czasowych. W 2014 r. muzeum przypomnielo widzom o wspaniałym zbiorze malarstwa rodzajowego, którego tematem są zaprzęgi konne i portrety koni, organizując niewielką wystawę stałą. Inspiracją do zaprezentowania fragmentu kolekcji stał się obraz Włodzimierza Łosia „Sanie przed bramą” (1885), zakupiony z dofinansowania Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W 2015 r. kolekcję „Konie, jeźdźcy, zaprzęgi w malarstwie polskim XIX i XX w.” wzbogaciło dzieło wybitnego artysty „monachijczyka” Alfreda Wierusza-Kowalskiego. Obraz „Powrót kwestarza” należy do wyjątkowych dzieł w karierze Alfreda Wierusza-Kowalskiego. Artysta tą pracą debiutował na międzynarodowej scenie, podczas Powszechnej Wystawy Światowej w Wiedniu w 1873 r. Płótno młodego, początkującego artysty zostało zauważone pośród tysięcy innych obrazów, zyskując pochlebna ocenę, co do kompozycji i warsztatu malarskiego. W obrazie widać zapowiedź tematyki i stylu późniejszych prac: rodzimy pejzaż ze sceną rodzajową złożoną z zaprzęgów konnych przemierzających wiejską drogę, przebiegającą ukośnie przez pole płótna. Charakterystyczna i dla późniejszych dzieł jest ironia zawarta w zobrazowanej historii. Obraz przedstawia epizod inspirowany opowieścią I. Chodźko „Pamiętniki kwestarza”. O zmierzchu kwestarze bernardyński

wracają do klasztoru, na wozach mają datki w postaci żywego inwentarza: cielę i gęsi, z których jedna uciekła i spłoszona biegnie przed siebie. Siedzący na wozie mnich z czerwonym nosem poderwał się zaniepokojony, aby zatrzymać wóz. Przerazony wzrok i uniesioną dłoń kieruje za uciekającym ptakiem. Młody woźnica w krakowskiej czapce zatrzymuje konie. W jego rysach badacze zauważyli autoportret Wierusza. Za nimi podąża kolejny wóz. W oddali widać zarys wiejskiej chałupy, okryty mgłą wieczornej szarugi. Wokół równinne pole pokryte trawą i polnymi kwiatami. Obraz „Powrót kwestarza” do niedawna uchodził za zaginiony. Po wystawie wiedeńskiej został zakupiony do galerii londyńskiej, następnie pojawił się na terenie Bawarii i tam został kupiony do zbiorów prywatnych w Polsce. Po 140 latach od debiutu został zaprezentowany w Muzeum Okręgowym w Suwałkach. Aktualnie płótno można oglądać w Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej. <

Z Kamilem Dąbrową, dziennikarzem radiowym i telewizyjnym, dyrektorem Programu I Polskiego Radia, rozmawia Edyta Tyszkiewicz



Wciągnęło mnie radio

fol. Jacek Konecki/Polskie Radio

Myszę, że niewielu białczan znających cię z radia i telewizji wie, że pochodzisz z naszego miasta. Nadal związany jesteś z Białą Podlaską?

– Urodziłem się w Warszawie, ale prawie połowę życia spędziłem w Białej Podlaskiej. Tak, uwielbiam tu przyjeżdżać. Głównie dla mamy. Rokrocznie jestem w Białej na Zaduszki, to jest święto, którego nigdy nie opuszczam. Zawsze wtedy odwiedzam grób dziadków. Poza tym z Białej mam dobre wspomnienia. Osiemnaście lat, które tu spędziłem, czyli przede wszystkim czasy szkolne podstawowej i liceum, były absolutnie fantastyczne. Przyjaźnie z tamtych lat trwają do dziś.

Jesteś absolwentem liceum im. J.I. Kraszewskiego. Czy szkoła miała jakiś wpływ na kształtowanie twojego światopoglądu, tego kim się stałeś?

– Na pewno. Miałem świetnych nauczycieli, prawdziwych licealnych profesorów, mistrzów. Dostarczali mi książki, których nie można było nigdzie dostać, przynosili płyty i czasopisma szkolne, na które nie było mnie stać. Profesorów, z którymi można było się spierać, dyskutować. Pamiętam, że „Malowanego ptaka” Kosińskiego przeczytałem, mając 16 lat. Dostałem tę książkę właśnie od mojej ówczesnej nauczycielki języka niemieckiego, Izabelli Czaplickiej. Nie było jej jeszcze w księgarniach, pochodziła z drugiego obiegu. To naprawdę ważne, żeby mieć takich mentorów, którzy zapadają w pamięć na całe życie.

W szkole średniej interesowałeś się aktorstwem, grałeś w teatrze szkolnym, a wybrałeś studia filozoficzne na Uniwers-

ytecie Warszawskim. Dlaczego?

– Grałem w szkolnym teatrze i w reprezentacji liceum w koszykówkę. Zresztą ze sporty sukcesami. Zdobiliśmy mistrzostwo i wicemistrzostwo województwa białkopodlaskiego szkół średnich. Filozofia mnie fascynowała od liceum. Już wtedy czytałem filozofów. W 1997 r. napisałem pracę magisterską o rumuńskim filozofie Emiliu Cioranie, który zmarł w 1995 r. Po obronie pracy magisterskiej, która okazała się najdłuższym esejem o tym filozofie w tamtych czasach, zaproponowano mi zagraniczne studia doktoranckie. Napisałem nawet projekt, ale w „międzyczasie” bardzo mocno wciągnęło mnie radio. I cieszę się, bo wykonuję bardzo ciekawą pracę. Aczkolwiek cały czas czuję, że jestem jeszcze coś winien Cioranowi i pewnie kiedyś napiszę artykuł na ten temat.

Jak zaczęła się twoja przygoda w mediach?

– To jest zabawna historia. Jako student często dzwoniłem do Radia Jazz. W tamtych czasach to było bardzo żywe radio, prowadzone przez Mariusza Adamiaka. Mieściło się w kultowym budynku „Akwarium”. Na antenie czytałem swoje wiersze, brałem udział w konkursach. Często wygrywałem płyty, wejściówki na koncerty. Pewnego dnia zwrócono uwagę na mój głos, moją wiedzę. Grzegorz Kozak pracujący wtedy w Jazzie zaproponował mi, żebym przyszedł zobaczyć, jak wygląda praca w radio. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale zatarłem ręce i skorzystałem z okazji.

Zapewne początki były trudne?

– Tak. Początkowo uczyłem się realizacji. Później były pierwsze wejścia antenowe.

Okropne (śmiech). Większość radiowców wspomina to podobnie. To był stres, ściśnięte gardło, rzecz nie do zapomnienia. Myśl, że to był środek nocy i zapewne niewiele osób mnie słuchało, wcale nie pomagała, ale bardzo dobrze wspominam tamte czasy.

Następną pracę dostałeś w młodzieżowym radiu Radiostacja.

– Trafiłem tam dzięki mojemu koledze, który tam pracował. Zaczęłem prowadzić pierwsze programy nocne. Zaraz potem zaprosiłem do współpracy mojego serdecznego przyjaciela, Grześka Markowskiego. Razem zrobiliśmy audycję „Radio NRD”. To była moja pierwsza autorska audycja. Opowiadaliśmy w niej przedziwne historie, graliśmy muzykę. Odnosiło się to do modnego później sentymentu do PRL. Wchodziliśmy w jakimś potwornym czasie, bo między 3.00 a 5.00 rano z soboty na niedzielę. Aż pewnego dnia zadzwonił do mnie ówczesny dyrektor Radiostacji Paweł Sito i zaprosił na spotkanie. Szedłem na nie z duszą na ramieniu. Myślałem, że coś nawywijaliśmy. Przychodzę, Sito stoi z takim ogromnym stosem kartek i pyta mnie, czy wiem, co to jest. Oczywiście nie wiedziałem.

A było to...

– To były wydruki z forum Radiostacji. Okazało się, że w trakcie trwania naszej nocnej audycji trwały zażarte dyskusje. Słuchacze byli zachwyceni. Dyrektor był w szoku, bo nie do końca wiedział, co my wyprawiamy na tej antenie. Wyjaśniłem mu, że „Radio NRD” to audycja, w której unosimy się nieco w oparach absurdu. Między mną i Grześkiem niesamowicie iskrzyło, napędzaliśmy

boogie town

SIŁOWNIA FITNESS SAUNA PAROWA

ul. Sitnicka 69, Biała Podlaska 504 076 161

Benefit Systems, Fit Profit, OKSystem

się nawzajem, do tego dochodzili słuchacze. Zachwycony Sito dał nam lepszy czas antenowy. Zaczęły pojawiać się pierwsze pieniądze, audycja rosła.

I pojawiły się kolejne programy, nowe propozycje pracy, prawda?

– Wspólnie z Grzeskiem i Marcinem Chłopasiem zrobiliśmy pierwsze radiowe reality show. To było w czasach „Big Brothera” i „Dwóch światów”. Nasz program nazwaliśmy „Dwa Bratwy”. Audycja była parodią tamtych programów, zapraszaliśmy do niego gości. Program cieszył się dużą popularnością. Byliśmy też dobrze oceniani przez inne media. Pamiętam, że zgłosiła się do nas „Gazeta Wyborcza” z propozycją drukowania „Dwóch Bratów” w dodatku letnim. Każda z audycji, które wspólnie robiliśmy, była strzałem w dziesiątkę. Coraz bardziej istnieliśmy w szerszym świecie dziennikarskim.

Potwierdzeniem tego na pewno była późniejsza praca między innymi w Radio Bis czy Tok FM, ale też w telewizji. W 2008 r. pojawiłeś się w TVN24.

– Faktycznie do 2011 r. wspólnie z Grzegorzem Markowskim prowadziłem „Szkoła kontaktowa”. Obecnie w TVP2 jestem gospodarzem programu „Kultura, głupcze”. Ciągłe słyszę, że jest on za trudny dla przeciętnego odbiorcy, że rozmawiamy o książkach czy filmach, które dopiero mają się pojawić. W zamyśle nie miał to być typowy program kulturalny. Kiedy go tworzyłem, przyświecały mi słowa Zygmunta Baumana, że sztuka jest narzędziem zmiany społecznej. W tym programie interesuje mnie, jak dane wydarzenie kulturalne wpływa na to, co się dzieje między ludźmi, ale też w mediach, na ulicy. To jest kluczem tego programu i sztuka jest tylko punktem wyjścia do rozmów o społeczeństwie, o relacjach.

Jesteś dziennikarzem publicystą, a miałeś też swoją małą przygodę z telewizją śniadaniową. Widziałam cię w tym programie i miałam wrażenie, że nie do końca czułeś się dobrze w tej konwencji.

– To była bardzo krótka przygoda i masz rację, nie czułem się tam zbyt dobrze (śmiech). To jest rodzaj dziennikarstwa, w którym bardziej trzeba się uśmiechać i być niż myśleć. Na pomysł programu wpadł szef Dwójki Jerzy Kapuściński, który chciał, żeby piątkowe wydanie „Pytania na śniadanie” miało taką kulturalną odsłonę. Przez jakiś czas prowadziłem program z Grażyną Torbicką, Agnieszką Szulim i Kazimierą Szczuką. Rozmawialiśmy o kulturze, kinie, teatrze, polecałyśmy książki, ale taka forma telewizyjnego śniadaniowego nie sprawdziła się.

Telewizja to tylko część twojego życia zawodowego. Najważniejsze wciąż pozostaje radio. Od 2011 r. pracujesz w programie I Polskiego Radia. Dlaczego zostałeś dyrektorem Jedyńki?

– Niemal od początku moja praca szła dwutorowo. Spełniałem się jako dziennikarz i jednocześnie pełniłem różne funkcje kie-

rownicze. Byłem na przykład dyrektorem-redaktorem naczelnym Radia Bis czy dyrektorem programowym Radiostacji. Chyba od dziecka mam zdolności organizacyjne, potrafię zarażać ludzi swoją wizją, pomysłami, umiem przekonać ich do zmian. Nie zawsze zabiegałem o stanowiska menadżerskie. Częściej to ktoś dostrzegał moje zdolności i proponował mi taką posadę. Jeśli chodzi o Jedyńkę, to zgłosiłem się do konkursu. Najpierw przeszedłem pierwszy etap, później drugi i wygrałem go.



Jaki miałeś pomysł na stację, którą zna wiele pokoleń?

– Znakomą, 90-letnią tradycję tego programu, wiedziałem, że spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność, ale równocześnie zdawałem sobie sprawę, że ten program nie może pozostać taki sam, nie może stać w miejscu, bo świat się zmienia. Wymyśliłem więc na Jedyńkę swego rodzaju równanie matematyczne Tradycja + Nowoczesność = Współczesność. Chcę, żeby to była współczesna antena, ale nie typowo nowoczesna, która gra tylko muzykę. Nie może też być to program tylko dla starszych osób. Chciałem to połączyć i mam nadzieję, że mi się udaje. Dobrym przykładem może być „Wieczorek przy mikrofonie”, do którego prowadzenia zaprosiłem didżeja i Michała Fogga, prawnuka Mieczysława Fogga. Sięgają oni do muzyki z lat 30., 40. i 50. ubiegłego wieku, gdy powstawały świetne utwory z doskonałymi tekstami. Prezentują te utwory w oryginale, i w nowych wersjach. Słuchacze są zachwyceni. Starsi słuchają z sentymentem, młodzi dowiadują się, że np. utwór „Ach te Rumunki!” wykonywany obecnie przez Warszawskie Combo Taneczne nie jest utworem współczesnym, a został napisany w latach 30-tych. To jest kwintesencja mojego myślenia o tym radiu.

Czy prowadzisz w Jedyńce jakąś audycję?

– Zrezygnowałem z prowadzenia audycji z dwóch powodów. Przede wszystkim dla czystości relacji z moimi pracownikami, bo przecież jestem tym, który ich ocenia, więc kto oceniałby mnie? Po drugie byłoby to trochę odbieranie chleba dziennikarzom. Gdybym ja prowadził dwugodzinny program, to ktoś inny w tym czasie nie miałby pracy. Wtedy nasze relacje mogłyby być niejasne, więc staram się tego unikać.

Funkcja, którą pełnisz, jest nie tylko odpowiedzialna, ale i stresująca. Jak sobie z tym radzisz?

– Na pewno rodzina, moje dwie córki pomagają mi się zrelaksować. Poza tym od ośmiu lat intensywnie biegam. Czasami, kiedy wracam do domu potwornie zmęczony, przebieram się w dres, zakładam buty i wychodzę biegać. Po godzinie wracam zrelaksowany, bez oznak zmęczenia. Podczas biegania oczyszcza się głowa. Od wielu lat biorę udział w maratonach. Biegam głównie w Polsce, ale w 2011 r. przebiegłem bardzo trudny maraton w Jerozolimie. To było ze wszech miar fajne. Za mną już osiemnaście maratonów, jednak pamiętam, co czułem na mecie pierwszego. Poryczałem się wtedy ze szczęścia. To było jakieś absolutnie mistyczne doświadczenie. Od tamtej pory trenuję intensywnie, przygotowuję się fachowo do startów. Mam wyniki, które jako amatora bardzo mnie satysfakcjonują. I to jest fajne. Uzależniłem się od biegania. Ma ono dla mnie wielki walor terapeutyczny. Gdy biegnę, czuję się lepszym człowiekiem! Podczas biegania pojawiają się też ciekawe pomysły.

Czy w czasach kiedy wydaje się, że wszystko już było, trudno stworzyć nowy program?

– To dobre pytanie. Faktycznie, można powiedzieć, że dzisiaj, w XXI wieku, w radiu już wszystko było. I tak właściwie mówią też szefowie. W tej chwili wszystko jest kwestią formy, czyli tego, jak się to poda. Obojętnie, co to będzie za program. To pytanie ma dla mnie drugie dno, bo wciąż staram się tworzyć nowe rzeczy.

Wierzysz, że w dzisiejszym zabieganym świecie radio wciąż jest potrzebne?

– To prawda, radio jest medium nieco archaicznym. Pamiętam jak w latach 90. usłyszałem od pewnego konsultanta radiowego z Francji, że radio się kończy, bo właśnie bardzo mocno wchodzi Internet. Moim zdaniem radio się nie kończy. Ono się zmienia, ewoluuje, ale cały czas ludzie chcą go słuchać. Jest wciąż potrzebne. Ludzie chcą, żeby ktoś do nich mówił poprawną polszczyzną, chcą, żeby ktoś opowiadał im świat. Radio wciąż będzie potrzebne, jako medium towarzyszące, np. ludziom, którzy dużo podróżują samochodami. Radio jest może staroświeckie, ale potrzebne. Nie wiem czy 30-latkom, ale na pewno 40-, 50-latkom. Oni słuchają radia, mają swoje ulubione audycje i przyznają się do tego. ◀



W mieście boogie

Duża przestrzeń i dobra energia – tak można opisać funkcjonującą od czterech lat szkołę tańca Boogie Town w Białej Podlaskiej. To jednak opis niepełny, bowiem nieuwzględniający klimatu miejsca, do którego z wielką przyjemnością garną się i mali, i duzi. Dlaczego? Dzięki zajęciom przybliżają się do spełnienia marzeń.

Na pomysł otwarcia szkoły tańca wpadli Małgorzata i Robert Jagiełłowie, kiedy kupili wyremontowany budynek przy ulicy Sitnickiej. Małżeństwo zastanawiało się, jak można zagospodarować jego górną część.

W tym czasie ich córka uczestniczyła w zajęciach tanecznych w szkole mieszczącej się przy bialskim deptaku prowadzonej przez młodych pasjonatów. Chcieli tańczyć i uczyć tego innych. Było to jednak miejsce z nierówną podłogą, bez szatni, poza tym brakowało przestrzeni tanecznej. Obserwując pasję córki i jej nauczycieli, Małgorzata poczuła potrzebę wyjścia im naprzeciw. Podjęła odważną decyzję utworzenia profesjonalnej szkoły tańca z dobrymi warunkami szkoleniowymi. Tak powstało Boogie Town – miejsce, w którym jest dużo przestrzeni do rozwijania tanecznych umiejętności i przede wszystkim pracuje tu wykwalifikowana kadra szkoleniowa.

Wizja Małgorzaty była taka, by szkole były duże przestrzenie z lustrami i przemyślane zaplecze logistyczno-sanitarne. Zaprojektowano wygodne sale treningowe, przytulne szatnie i łazienki. – Projektując swoją szkołę, odniosłem się do zasady: mam się sama dobrze czuć w tym miejscu – wyjaśnia właścicielka Boogie Town. Od niedawna można tu korzystać również z siłowni i łaźni parowej.

Najlepsi nauczyciele

W zorganizowaniu pierwszych zajęć małżeństwu Jagiełłom pomagał trener Remigiusz Oleszczuk, który wymyślił nazwę i logo szkoły. Razem z Tobiaszem Toczyńskim

zaczęli prowadzić pierwsze lekcje tańca. Wyjątkową postacią jest Katia Smerychanskaya, która uczy baletu. Jest absolwentką szkoły tańca klasycznego, ale interesuje ją wiele stylów tańca, nie tylko klasyczny. Otwierając szkołę, państwo Jagiełłowie dużo rozmyślali o tym, jakich tańców uczyć białczan. Założyli otwieranie się na oczekiwania i potrzeby klientów, dlatego w ich szkole pracowało wielu dobrych instruktorów i trenerów. Na zasadzie prób i błędów ustalono ofertę Boogie Town. Aktualną propozycją są zajęcia w grupach breakdance, dance, modern jazz i baletowych. Gosia z dumą mówi o swych małych baletnicach, które po kilku latach intensywnych treningów mają już pożądaną postawę tancerki i z gracją poruszają się nawet poza salą treningową.

Transgraniczna współpraca

Dużym sukcesem, co podkreśla Robert, jest nawiązanie współpracy z Brzeską Szkołą Choreograficzną. Kształci ona dzieci i młodzież od 6. do 14. roku życia, a dostanie się do niej jest wielkim prestiżem na Białorusi. Słynny tancerz Natarow przyjeżdżał do Boogie Town na warsztaty. Brzeska szkoła zwróciła się do właścicieli z prośbą o zorganizowanie młodym tancerzom warsztatów w Białej Podlaskiej. By zminimalizować koszty przyjazdu, państwo Jagiełłowie zaproponowali rodzicom dzieci uczących się w ich szkole, by przyjechali do domów uczniów z Brześcia. Wizyta ta zapoczątkowała przyjaźnię i zacieśniła współpracę. Zaowocowała ona rewizytą

podopiecznych Boogie Town w białoruskiej Białowieży u Dziadka Mroza oraz w brzeskiej szkole. – Niezwykle cieszymy się z tej wymiany doświadczeń szkoleniowych, ale również wymiany kulturowej, która tworzy nowe perspektywy dla młodego pokolenia – przyznaje Małgorzata Jagiełło. Dzięki tej współpracy do Boogie Town trafiają najlepsi tancerze z zachodniej granicy. Ostatnio miała miejsce kolejna wizyta młodych tancerzy z Brześcia. W Białej Podlaskiej wzięli udział w warsztatach z Sergiejem Epihovem, który w swym dorobku ma m.in. układanie choreografii do Eurowizji.

Marzenia klientów i właścicieli

Inicjatywy podejmowane przez państwa Jagiełłów napawają optymizmem. Podobnie ich plany na przyszłość. Małgosia chce rozwijać szkołę, usprawniając ją i podejmując kolejne wyzwania szkoleniowe. Ucząc tańca, spełniają małe marzenia dzieci. Wybrali to, zamiast otwarcia kolejnego w mieście sklepu z ciuchami. Dlaczego? – Mówi się, że młodym ludziom brakuje autorytetów, że prawdziwa integracja już dawno wyginęła. Ale jest coś, co tym stwierdzeniem przeczy. Taniec jest metodą nie tylko na poprawienie swojej sprawności fizycznej, ale i intelektualnej – uważa Małgorzata. Przekonuje, że dzięki niemu można odnaleźć i wyrazić siebie. – Wspólny ruch to magia, sposób spędzania wolnego czasu łączący ludzi. Taniec sprawia, że zapominamy o problemach życia codziennego i dajemy ponieść się chwili – mówi właścicielka Boogie Town. I ma całkowitą rację. ◀

Ekozabawa

Justyna Kirczuk
fot. Grzegorz Doroszuk

Miejsc do zabawy dla dzieci w naszym mieście przybywa. Ale tych, gdzie czas można spędzić zdrowo i aktywnie, nie ma wcale zbyt wiele. Tym bardziej zaskakuje pierwsza w Białej Podlaskiej, a zarazem pierwsza w Polsce, Sala Zabaw bez Plastik. Centrum miasta, ulica Brzeska i zaledwie 80 metrów kwadratowych. Jak się okazuje, nie sama przestrzeń jest ważna, ale to co w środku. Tu zaś znajdziemy naprawdę sporo.

Jest przede wszystkim bezpiecznie. Nie ma tu żadnych tworzyw sztucznych, pomijając gniazdzka elektryczne w ścianach, no ale nie bądźmy aż tak skrupulatni, innych chyba jeszcze nie wyprodukowano. Nawet farby wykorzystane do pomalowania drewnianych materiałów są bezpieczne dla dzieci – nie ma w nich ołowiu czy pochodnych ropy naftowej. Miejsce przytulne, pobudzające maluchy do kreatywności, ponieważ tutaj próbuje się zainteresować je różnymi formami, strukturami, kolorami, tak żeby rozwijały się manualnie i poznawczo. Stąd przykładowo drewniane owoce i warzywa oraz noże, które służą do nauki krojenia. Plastikowe „jeździki” zastąpione drewnianymi wózkami, a w basenie zamiast plastikowych kulek znajdziemy orzechy włoskie. Drabinki służące do wspinania, domki, w których można się schować, miękkie poduchy do leżenia i wiele innych przedmiotów, których zastosowanie tak naprawdę dzieci mogą odkrywać same. Bo nagle okazuje się, że struktura zabawek może być przecież gumowa, drewniana, metalowa, mówiąc krótko – organiczna, a najmłodszy świetnie potrafią z tego korzystać.

Zachować umiar

Anna i Marcin Rodakowie, pomysłodawcy i właściciele Sali Zabaw bez Plastik. Rodzice. Znają się od 2008 roku, zaś od czterech lat są małżeństwem. Wspólnie postano-

wili połączyć życie rodzinne z pracą i wychowywaniem dzieci i, jak sami przyznają, na razie udaje im się to bez żadnych ograniczeń i trudności. Inspiracją do założenia tej nietypowej sali zabaw i pewnym punktem zwrotnym w ich codziennym życiu był zakup samochodu strażackiego dwuletniemu synowi. – Sebastian bardzo długo się nim bawił. Po jakimś czasie, my, rodzice, odkryliśmy włącznik, który uruchamiał różne melodie – opowiada Ania. – W tym momencie, niestety, cała magia zabawki przysła. Od tamtej chwili dla dziecka istniał już tylko ten jeden przycisk. I najczęściej jest tak z zabawkami, które kupujemy, że one same bawią się za nasze dzieci. Mają mnóstwo światła, dźwięków, a zabawa nimi polega tylko na włączaniu przycisku. Natomiast jeśli wybieramy przedmioty drewniane, edukacyjne, to okazuje się, że samochód może być jednocześnie łodzią podwodną, wozem transportowym czy pociągami, może być po prostu wszystkim – przekonuje.

Jak na co dzień funkcjonują Rodakowie? Zero plastiku, fast foodów, cukru i chemii? – Bez przesady, to chyba niemożliwe – komentuje Marcin. – Ale rzeczywiście staramy się zwracać uwagę na proekologiczne aspekty życia, co nie oznacza, że przejeżdżając obok McDonald'a, zmieniamy natychmiast pas ruchu – śmieje się. – Staramy się świadomie robić zakupy – mówi Ania. – Jeśli mam dwie rzeczy do wyboru, to wybieram tę naturalną.

Ale nie oznacza to, że nie jemy czasem pizzy czy lodów. Synowie natomiast, zamiast słodyczy, dostają bakalie i dużo owoców oraz samodzielnie pieczone ze mną ciastka. To sprawia im wielką frajdę. W naszym domu nie ma zbyt wiele plastiku. Nasze dzieci już jako niemowlęta dostawały posiłki na ceramicznych talerzach. Jednak gdy dzieci dostaną od kogoś plastikowe zabawki, normalnie z nich korzystają. Najważniejsze to zachować we wszystkim umiar – wyjaśnia.

Aktywnie w centrum

Sala zabaw, którą prowadzą Rodakowie, to miejsce urządzone z perspektywy matki. Dwa pomieszczenia z gustownym, ciepłym i przyjaznym dla dziecka wystrojem wnętrza. Salę sensoryczną ze strefą relaksu przeznaczono dla dzieci od pierwszego roku życia. Jest bezpieczna, pozbawiona ostrych krawędzi i małych elementów, które dziecko mogłoby połknąć. Najmłodszym służy również przewijak wyposażony w zapasowe pieluszki i chusteczki nawilżające po to, by, jak mówi właścicielka, nic nie zakłóciło zabawy i nie zaskoczyło mamy oraz dziecka. W drugiej sali, zielonej, znajdują się konstrukcje zabawowe dla tych nieco starszych, aż do dziewiątego roku życia. Jest jeszcze trzecia, taneczna, zwana też lustrzaną. W niej odbywają się urodziny, zabawy animowane przez dorosłych czy warsztaty taneczne, m.in. jazz i hip-hop dla dzieci i młodzieży oraz jazz dla kobiet. W planach jest również fitness dla mam. – To z myślą o tych kobietach, które siedzą w domu z pociechami, a chciałyby zadbać o siebie – tłumaczy Marcin. – Chcemy proponować różne formy aktywizacji mamom i ich dzieciom. Mamy także ofertę skierowaną do młodzieży, to tak zwane półkolonie, czyli ferie i wakacje na sportowo albo nauka pływania, którą poza pracą w sali zajmują się na co dzień.

Pomysłów na rozwój Rodakowie mają sporo. Nie tylko jeśli chodzi o zajęcia czy warsztaty, ale również wyposażenie sali zabaw. – Inwestujemy w to dzieło własne fundusze, więc stopniowo wystrój sali się zmienia. Co chwilę dokładamy coś nowego – mówi Ania. – Zmiany zachodzą tu z dnia na dzień. Mamy coraz więcej zabawek, bardzo dużo zmieniło się chociażby w ciągu ostatniego miesiąca. Z każdą kolejną wizytą dzieci i rodzice odkrywają nowe rzeczy. To jest właśnie wyjątkowe w tym miejscu, że im dłużej jesteśmy, tym więcej dostrzegamy rzeczy do zabawy. Dlatego wejścia są bez limitu czasowego, ponieważ jeśli mamy rozwijać kreatywność, twórcze myślenie oraz zdolności manipulacyjne i konstrukcyjne dziecka, to nie możemy tego ograniczać czasem – tłumaczy.

Właścicielka podkreśla również wagę współpracy z dorosłymi, którzy ich odwiedzają. Zdarza się, że kobiety chwala się, że szyją zabawki, poszewki lub zajmują się innym rękodziełem. – Chętnie to wykorzystujemy. Jedna z mam zrobiła nam przykładowo szydełkowe owoce i warzywa. Chcielibyśmy wspólnie z innymi rodzicami tworzyć to miejsce, wtedy będzie ono miało swoją duszę – uśmiecha się. ◀

Doświadczanie autyzmu

W nietypowych warsztatach, pokazujących, jak odbierają świat osoby z autyzmem, wzięła udział młodzież z białskich szkół. Doświadczali namiastki tego, co widzą, słyszą i czują ludzie zmagający się z tym zaburzeniem. – To było szokujące doświadczenie. Otworzyło nam oczy – mówi jedna z gimnazjalistek

Terapeutki z placówek prowadzonych przez Stowarzyszenie Pomocy Młodzieży i Dzieciom Autystycznym oraz Młodzieży i Dzieciom o Pokrewnych Zaburzeniach Wspólny Świat w Białej Podlaskiej, Renata Rychlicka i Anna Buczyńska, spotkały się z uczniami II Liceum Ogólnokształcącego im. E. Plater oraz Publicznego Gimnazjum nr 6. – Chcąc propagować wiedzę o autyzmie, nasze terapeutki przeprowadziły warsztaty z młodymi ludźmi, by pokazać im, jak trudno jest funkcjonować osobom z tym zaburzeniem. Niewiele ludzi zdaje sobie z tego sprawę – mówi Anna Chwałek, szefowa Wspólnego Świata.

Jak odczuwa autysta

To pytanie było kluczowe podczas przeprowadzonych warsztatów. – Odbieranie świata przez osoby z autyzmem da się porównać do sytuacji, w której znalazłby się zdrowy człowiek, zamknięty w małym pomieszczeniu i poddany na działanie rozmaitych bodźców – wyjaśnia Renata Rychlicka, terapeuta i pedagog w szkole dla dzieci z autyzmem, która prowadziła warsztaty w białskich szkołach. – To tak jakby zdrowego człowieka zamknąć w takim miejscu, w którym jest



Katarzyna Fronc
fot. archiwum

bardzo gorąco, ubrać go w gruby gryzący sweter z prawdziwej wełny, puścić głośno muzykę z radio, włączyć telewizor, otworzyć okno, zza którego będą dolatywać odgłosy rozmów, sygnały karetek i warkot samochodów, oświetlić to pomieszczenie dyskotekowym, migającym stroboskopem, wpuścić liczne ostre zapachy – perfum, gotowanej kapusty, acetonu i dymu papierosowego, i kazać temu człowiekowi napisać w tych warunkach ważny list do przyjaciela.

To terapeutki zademonstrowały uczniom. – Charakter tych spotkań nie był czysto teoretyczny. Uczniowie wzięli udział w ciekawych doświadczeniach, które uzmysłowiły młodzieży, jak trudno jest funkcjonować osobom z autyzmem. Z jakim trudem przychodzi im nawiązywanie komunikacji. Często spotykają się z niezrozumieniem i wyobcowaniem – mówi Marta Łukowska-Almaszy, dyrektor Ośrodka Terapii i Diagnostyki Dzieci Autystycznych Wspólny Świat.

Na własnej skórze

Młodzież podczas warsztatów miała do wykonania różne zadania w utrudnionych warunkach, jak np. wycinanie w grubych rękawicach precyzyjnych kształtów, rysowanie, oglądanie świata w przeciwslonecznych okularach dodatkowo pozaklepanych w różnych miejscach czy zrozumienie treści instrukcji w tzw. białym szumie. – W praktyce wyglądało to tak, że trzy osoby czytały równocześnie różne teksty, a uczniowie mieli za zadanie wylapać sens jednego. Niektórzy nieco się przy tym denerwowali – mówi Andrzej Czerko, wychowawca licealistów, którzy wzięli udział w warsztatach. Utrudnienia to jednak nie wszystko. – By pokazać, co naprawdę czują osoby z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, celowo wywieraliśmy na uczniach presję podczas zajęć. Uwagi, że robią coś

niedokładnie, że się nie starają, nie uważają należycie były dla wielu osób sporym problemem – wyjaśnia Renata Rychlicka.

– Te zajęcia zrobiły na mnie naprawdę duże wrażenie. Mogę nawet przyznać, że to był pewnego rodzaju wstrząs. Podstawową wiedzę o autyzmie miałam, ale nie wiedziałam tego, jak czuje się ktoś, kto ma autyzm – przyznaje Michalina Lewczuk. Gimnazjalistka w warsztatach prowadzonych przez pracowników Stowarzyszenia Wspólny Świat brała udział w zeszłym roku. Od tego czasu w ramach wolontariatu systematycznie odwiedza uczniów szkoły dla dzieci z autyzmem. – Taki cel mają te warsztaty. Uważliwiwiają młodych ludzi na problemy, z jakimi borykają się ich rówieśnicy. Na niepełnoprawność – uważa Mariola Zozula, nauczycielka w gimnazjum nr 6 i jednocześnie opiekunka szkolnego koła Caritas.

Bakcył wolontariatu

Wielu jej wychowanków bierze udział w zajęciach z podopiecznymi Wspólnego Świata. – Cieszę się, że gimnazjaliści zaangażowali się w wolontariat. Korzystają na tym wszyscy, nie tylko dzieci i młodzież z autyzmem, ale też moi uczniowie. Poszerzają swoją wiedzę, uczą się tolerancji – mówi Mariola Zozula.

Także terapeuci doceniają starania i chęci młodzieży do odwiedzania ośrodka Wspólny Świat. – Bardzo się cieszymy, że jest młodzież, która przychodzi na nasze zajęcia z dziećmi z autyzmem. Razem gramy w gry planszowe, robimy gofry, bawimy się. To naprawdę wiele znaczy dla nas i naszych podopiecznych – mówi Renata Rychlicka. W podejmowanych działaniach nie chodzi bowiem tylko o pomoc, ale przede wszystkim o integrację. Oby więcej takich działań i tak zaangażowanej młodzieży. ◀

Rekolekcionista, autor płyt i książek, ewangelizator na Przystanku Woodstock, pomysłodawca mobilnego konfesjonatu i właściciel najdłuższego rachunku za SMS-y – to wszystko można powiedzieć o pochodzącym z Białej Podlaskiej księdzu Rafale Jarosiewiczu. Jednak tym, co go definiuje, jest niesienie Ewangelii. Niezwykle charyzmatyczny i pomysłowy dociera do ludzi najbardziej poranionych i pogubionych w życiu. Zyskał przydomek „Bożego Szaleńca”, choć sam o sobie mówi, że jest zwyczajnym katolickim księdzem.

Nie jestem cudotwórcą, ale zwykłym księdzem. Spotykałem duchownych, co nosili stygmaty, mieli dar modlitwy, przez którą Bóg uzdrawiał. Ja nie posiadam żadnych szczególnych charyzmatów. Po prostu robię to, co należy do każdego duchownego: modlę się, udzielam sakramentów i przekazuję ludziom Słowo Boże – odpowiada skromnie ks. Rafał Jarosiewicz.

Odmiana

Urodził się 3 czerwca 1976 r. w Białej Podlaskiej. Jako młody chłopak nie myślał o kapłaństwie. Po ukończeniu bialskiej Szkoły Podstawowej nr 5 wybrał technikum samochodowe. Po maturze postanowił studiować psychologię i pedagogikę na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Podczas studiów poczuł jednak powołanie do kapłaństwa. Zabrał dokumenty i przeniósł się do seminarium duchownego. – Spotkałem Chrystusa w swoim życiu. Spotkałem Go poprzez innych ludzi, których świadectwo było na tyle przekonujące, iż stwierdziłem, że to nie może być kłamstwo. Było to na tyle silne, że rzuciłem wszystko i pozwoliłem Bogu wejść do mojego życia. Po tej decyzji zmieniło się ono całkowicie – opowiada ks. Rafał.

W Siedlcach ukończył Wyższe Seminarium Duchowne i trafił do swojej pierwszej parafii w Radoryżu Kościelnym, gdzie pracował jako wikariusz. Wtedy też zaprzyjaźniony profesor namówił go na studia doktoranckie. Studiował duchowość na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Ewangelizacja

Po studiach skierowany został do parafii Przemienia Pańskiego w Łukowie. W tym mieście, z racji znajomości języka migowego, sprawował opiekę nad osobami głuchoniemymi, opiekował się Wspólną Ewangelizacyjną Jana Chrzyciela, był moderatorem Ruchu Światło-Życie, uczył religii w jednej



BOŻY SZALENIEC

z miejscowych szkół.

Kilka lat temu ks. biskup Edward Dajczak zaprosił go do pracy w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Ks. Rafał wahał się, szukał wskazówek w Piśmie Świętym, aż wreszcie zdecydował się przyjąć propozycję i pojechał ewangelizować młodzież na Pomorzu. – Biskup Dajczak zafascynował mnie swoją postawą. To taki duchowny, który daje świadectwo całym swoim życiem, od najprostszych codziennych gestów – mówi ks. Jarosiewicz, tłumacząc, w jaki sposób trafił do Kołobrzegu. Tam zastał ogrom pracy ewangelizacyjnej, bo księży było niewielu, a do kościoła przychodziła garstka wiernych. Właśnie wtedy, w domu rekolekcyjnym, zrodziły się wszystkie ciekawe pomysły na może trochę nietypową, ale skuteczną ewangelizację młodych ludzi.

Jezus chodzi po Woodstocku

Głoszenie Chrystusa podczas masowych imprez zaczęło się jeszcze w Jarocinie. Ks. Rafał jeździł tam razem ze wspólnotą ewangelizacyjną, by dzielić się z innymi doświadczeniem żywego i kochającego Boga. Potem przyszedł Przystanek Woodstock. Jeździł tam co roku, najpierw jako kleryk, później jako kapłan i skutecznie nawiązywał dialog z młodzieżą i służył im sakramentem pokuty. Od 1999 r. robi to w ramach Przystanku Jezus. – To wspólnota wspólnot, składająca się z różnych ruchów i stowarzyszeń: Odnowy w Duchu Świętym, Ruchu Rodzin Nazaretańskich, Oazy, KSM, Neokatechumenatu i wspólnot lokalnych. Jeśli przyjeżdża

tyle osób, to z tej różnorodności można coś pięknego ułożyć – podkreśla ks. Rafał. Ewangelizacja na Woodstocku przybiera różne formy, od rozdawania ulotek, zwyczajnych rozmów, poprzez dzielenie się posiłkiem, muzykę i śpiew, aż po spowiedź i mszę świętą. Ksiądz Jarosiewicz zapewnia, że ewangelizatorzy spotykają się z bardzo spontanicznymi i szczerymi reakcjami młodych ludzi. – Są wspaniali, bardzo otwarci, chcą rozmawiać. Wielu nikt wcześniej nie proponował, żeby zaprosić Jezusa do swego życia – przyznaje kapłan.

Zdarzało mu się spowiadać nieprzerwanie przez 15 godzin. – Można powiedzieć, że tam, gdzie grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska. Ludzie przychodzą czasami po dwudziestu latach nieprzystępowania do spowiedzi. Często decydują się na to dlatego, że byli na mszy świętej, posłuchali świadectw, porozmawiali z kimś albo dostali kromkę chleba. To coś niesamowitego – zaznacza ks. Rafał.

Konfesjonat na kołach

Mobilny konfesjonat to jedna z najbardziej znanych inicjatyw ks. Jarosiewicza. Jej początki sięgają Przystanku Jezus. Kapłani spowywali tam, siedząc na ziemi, gdzieś pod płotem. Pewnego dnia ks. Rafał dostrzegł samochód z napisem „Auto z księdzem”. Widząc duże zainteresowanie, postanowił zrobić podobnie. Na swoim samochodzie też wywiesił taką tabliczkę i ruszył ewangelizować.

Okazało się, że podczas imprez masowych,

gdzie jest głośno i tłoczno, wewnątrz auta zapewnia ciszę niezbędną dla spowiedzi i rozmowy. Te spostrzeżenia skłoniły ks. Rafała do rozwinięcia działalności i tak zrodził się mobilny konfesjonat. To prawie 20-letni dostawczy mercedes, oznakowany i z zamontowanym na stałe drewnianym konfesjonalem, wykonanym w fabryce mebli sakralnych na Podlasiu. Służy przede wszystkim podczas otwartych spotkań ewangelizacyjnych, także tych prowadzonych na ulicach, na parkingach, w okolicach galerii handlowych czy hal widowiskowych w różnych rejonach Polski. Ks. Jarosiewicz podkreśla, że nie jest to jednorazowa akcja, mająca na celu wywołanie szoku czy tylko przypominanie o konieczności spowiedzi. – Ja chcę spowiadać. Ludzie naprawdę tego potrzebują. Przychodzą jedna osoba za drugą. To największa nagroda za wszystkie poniesione trudy, czasami kpiny i upokorzenia – wyznaje duchowny.

Płyty, książki, Internet

Przedsięwzięć, w które zaangażowany jest ks. Rafał Jarosiewicz, jest bardzo wiele. Prowadzi dziesiątki rekolekcji i kursów ewangelizacyjnych w kraju i za granicą. Jest dyrektorem Szkoły Nowej Ewangelizacji w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Dał początek portalom ewangelizacyjnym www.4800sekund.kdm.pl oraz www.smsnieba.pl. Współpracuje z hip-hopowymi zespołami, m.in. Full Power Spirit z Białej Podlaskiej. Ks. Rafał jest też wydawcą i aranżerem wielu płyt z autorskimi piosenkami, muzyką oraz kon-

ferencjami. Wydał sześć książek, m.in. „Miłość chodzi po Woodstocku”, „Ewangelizacja bez granic”, czy komiks napisanego wspólnie z s. Jeremiaszą Ponikwią pt. „Krótki przewodnik po modlitwie”. Od lat związany jest z ogólnopolskimi spotkaniami jak Bieszczady z Jezusem, Przystań z Jezusem czy Ewangelizacja na Lednicy. Jest ponadto współorganizatorem rekolekcji „Jezus na stadionie”. W tym roku na spotkanie na Stadionie Narodowym w Warszawie przybyło blisko 50 tys. osób.

Pismo Święte przez komórkę

Pomysł, by rozsyłać Dobrą Nowinę i cytaty z dzieł różnych świętych w formie SMS-ów powstał dziewięć lat temu. Ks. Rafał zainspirował się reklamą sieci komórkowej, która proponowała w stałym abonamencie wysyłanie nieograniczonej ilości SMS-ów. Początkowo słał wiadomości do znajomych, co spotkało się z pozytywnym odbiorem. Wkrótce zainteresowanie tą inicjatywą przeszło oczekiwania pomysłodawcy. Do rozsyłania SMS-ów zgłosili się wolontariusze i tak powstał projekt „4800 sekund pozytywnego przekazu”, strona internetowa oraz Fundacja SMS z Nieba. Teraz co miesiąc rozsyłanych jest 300 tysięcy SMS-ów ze Słowem Bożym. Wynikiem jest najdłuższy rachunek telefoniczny świata, liczący 2,5 tys. stron, który zgłoszono do Księgi Rekordów Guinnessa. – Kiedy zaczynałem tę akcję, nie myślałem, że przybierze takie rozmiary. Można powiedzieć, że Pismo Święte zostało już wiele razy wysłane przez komórkę. SMS-y idą na cały świat, nie tylko w Polskę – za-

znacza kapłan. Aby otrzymać taką wiadomość, wystarczy pobrać darmową aplikację.

Uwielbienie 24/h

Pięć lat temu we wsi Biardy koło Łukowa zaproponował, aby ludzie czytali książki z intencją za zmarłych. Jako modlitwę. – Każda przeczytana strona wypożyczonej książki z załączenia jest modlitwą za zmarłych. Wpisuje się to w nauczanie Kościoła podane m.in. przez św. Franciszka Salezego i św. Józefa Pelczara. Ratując dusze cierpiące, wykonujemy akt wiary w życie pośmiertne. W tym akcie mieszczą się wszystkie uczynki miłosierdzia – wyjaśnia duchowny.

Obecnie w całej Polsce funkcjonuje kilkanaście Bibliotek dla Zmarłych. Także z Białej Podlaskiej zgłosiły się osoby chętne do ich prowadzenia. Ks. Rafał ciągle nad czymś pracuje. Obecnie przygotowuje do wydania kolejne książki i płyty, jeździ z konferencjami, posługuje w parafii, nadzoruje istniejące już inicjatywy i obmyśla kolejne. Jedną z najnowszych jest mobilne oratorium – samochód jeżdzący po Polsce, w którym przez całą dobę odbywałoby się uwielbienie Boga, czy to poprzez osobistą adorację, czy też modlitwą wspólnotową. – Inspiracje do tych wszystkich działań pochodzą od Pana Boga. On jest sprawcą chcenia i działania w nas. Wszystkie pomysły oddaję rozważaniu biskupów. Jeśli oni to zaakceptują, wtedy zaczynam działać – przyznaje kapłan.

Podróż z Ewangelią

Skąd ks. Rafał znajduje na to wszystko czas? – To, co robię, to moja pasja, która daje mi radość. Czasami chciałbym odpocząć, ale tuż obok dzieje się coś ciekawego. Każdy dzień jest nową przygodą. Sił dodaje mi modlitwa, adoracja Najświętszego Sakramentu, codzienne spotkania ze Słowem. Wiem, że jestem zwykłym człowiekiem. Idę za Jezusem, ale mam pewne ograniczenia, dylematy, problemy... Jezus w to wchodzi, chce się tym posługiwać – tłumaczy duchowny. Wychodzenie na zewnątrz z różnymi akcjami ks. Rafał łączy z podróżami, które bardzo lubi. Ale nie one są motorem jego działań, a efekty ewangelizacji. Duchowny zapewnia, że wiele osób wróciło do Kościoła dzięki temu, że ktoś „dopał” ich na ulicy. – Jezus wysłał uczniów, by szukali zaginionych owiec. Dzisiejszy świat wymaga nowych metod ewangelizacji. W galeriach handlowych rozmawiam z ludźmi, modlę się za nich. To znak czasu – uważa ks. Jarosiewicz. Podkreśla też, że do mobilnego konfesjonatu zgłaszają się ludzie, którzy od lat żyją wbrew nauce Kościoła. – Trudno wyobrazić sobie, jak bardzo są poranieni, jak tęsknią za najmniejszym krokiem uczyniowym w ich kierunku – opowiada. Takich kroków ks. Rafał zrobił tysiące. Dzięki nim jest rozpoznawany w całym kraju. Mimo to pozostaje skromnym człowiekiem. – Zdaję sobie sprawę ze swojej grzeszności, widzę setki swoich słabości i niedociągnięć. To chroni mnie przed samozadowoleniem – mówi kapłan. – Poza tym to Jezus jest Panem, inspiratorem i twórcą tych wszystkich inicjatyw. Ja tylko wykonuję to, co mi powierzył. <

Z Białej do Blackpool

Maciej Pytka
fot. archiwum

Franciszek Bakalarski odleciał z białskiego lotniska na samolocie RWD-8 w stronę granicy polsko-rumuńskiej wraz z ewakuacją personelu białskiej Państwowej Wytwórni Samolotów. Ale czy tak było naprawdę? Sam zainteresowany i członkowie mojej rodziny twierdzą, że tak. Niektóre jednak źródła podają, że wojna 1939 roku zastała go w Brzeżanach w szkole pilotażu, a granicę Polski przekroczył 10 lutego 1940. Obie wersje są niesamowicie ciekawe, a rozwikłanie tej zagadki jest zajęciem pasjonującym. Spróbujmy...

Jak i kiedy Franciszek Bakalarski znalazł się we Francji? Kilukrotnie pytałem go o to listownie. Odpisał mi raz.

15.01.2007 r.

Drogi Panie Macieju.

W odpowiedzi na Pański list przysyłam Panu kopię zdjęcia mojego samolotu, na którym wykonałem około 40 operacji w latach 1943, 44, 45. Oznaczenia to J-SM. Mój wojenny numer operacyjny to „CLIFORD 26”. O tym, co przeżyłem pisać nie chcę i nie mogę. Więcej wiadomości na temat lotnictwa posiada z pewnością Bohdan Ejbich, który mieszka w Kanadzie, podam Panu jego adres. Bohdan Ejbich (...). Pozdrawiam Frank Bakalarski.

List ten nie zawierał odpowiedzi na żadne moje pytanie. Mimo to byłem bardzo szczęśliwy, bo dostałem zdjęcie samolotu i nr operacyjny Bakalarskiego. Nie chciałem pisać o czasach wojennych. Bez odpowiedzi pozostają pytania: nie mógł, może nie pamiętał, a może było to dla niego przeżycie zbyt bolesne.

Czytałem mnóstwo książek na ten temat i zauważyłem, że weterani piloci dzielą się na dwie grupy: ci, którzy wspominają dobrze te lata, są bardzo płodni, piszą książki. Drugą grupę stanowią ci, którzy nie wspominają, nie chcą pamiętać. Dotąd nurtuje mnie pytanie, dlaczego Franciszek Bakalarski nie chciał się z mną podzielić swoją wiedzą. Być może odpowiedź jest związana z tym wydarzeniem?

11.05.1944 r.

Lotnisko Lasham, samoloty Dywizjonu 305. Startują do nocnej akcji intruderskiej. Celem jest lotnisko Luftwaffe Coulommiers koło Paryża. Po dotarciu w wyznaczony rejon maszyny typu Mosquito Mk IV kolejno schodzą niżej i zaczynają się podchodzić do bombardowania i ostrzału wrogiego obszaru. Po samolocie SM-A nawrót robi maszyna Bakalarskiego i nawigatora Żabika SM-J. Niemcy zapalają kilkanaście reflektorów. Wszystkie skupiają się na samolocie pilotowanym przez Bakalarskiego. Mosquito jest na ide-

alnym kursie i przygotowuje się do ataku: komora bombowa zostaje otwarta i w tym momencie następuje zmasowany ostrzał artylerii przeciwlotniczej małego i średniego kalibru. Samolot pozostaje na kursie i otrzymuje pierwsze trafienia w poszycie skrzydeł i kadłuba. Załoga nie zważa na to i bombarduje lotnisko, a osiem karabinów umieszczonych na nosie Mosquito niszczy wszystko, co jest na drodze pocisków. Ten samolot jest wyposażony w śmiertelny zestaw broni.

Bakalarski i Żabik lecą dalej, nawracają i wtem samolot dostaje bezpośrednie trafienie pociskiem kalibru 38. Mosquito, którym leci Bakalarski, to konstrukcja w 90 procentach drewniana. Uderzenie następuje za plecami nawigatora bezpośrednio w radiostację, która wylatuje górą owiewki kabiny, wyrwywając otwór w oszkleniu, które chroni pilota i nawigatora. Setki odłamków rozpryskują się jednak po kabine, raniąc Bakalarskiego. Do kabiny wdziera się przejmujące zimno. Mosquito traci na moment sterowność, jednak po kilku chwilach się podrywa. Samolot odchodzi, bez nawigacji i radiostacji jest ślepy i głuchy. Podłoga jest we krwi pilota i jego partnera. Szanse na powrót w nocy na macierzyste lotnisko w Anglii maleją drastycznie. Tym bardziej godne podziwu są umiejętności nawigatora Jana Żabika. Wracają szczęśliwie. Tak kończy się wyprawa, za którą Franciszek Bakalarski otrzymał Srebrny Krzyż Virtuti Militari klasy V – jedno z najwyższych odznaczeń w Wojsku Polskim.

1940-2013

Bakalarski dotarł do Wielkiej Brytanii 27 czerwca 1940 r. Naukę pilotażu rozpoczął w sierpniu 1941 r. Po ukończeniu kilku szkół początkowego i zaawansowanego latania w lipcu 1943 r. dostał przydział do Dywizjonu 300. Jednak stwierdzam, studiując książki lotów tego dywizjonu, że nie latał bojowo w tym szanowanym i znanym dywizjonie. Być może latał nieoperacyjnie. 15 października 1943 r. został przeniesiony do Dywizjonu 305.

I tu jest ciekawy epizod, którego jednym z nielicznych bohaterów był Bakalarski. Po przydziale do Dywizjonu 305. rozpoczyna loty na samolotach B-25 Mitchell. Wszyscy pasjonaci lotnictwa wiedzą, co to były za maszyny. Zwano je Cadillacami Przewoźnymi. To samoloty marzenie, a Bakalarski był jednym z nielicznych pilotów, którzy latali na nich na bombardowanie celów we Francji. Jednak krótko było użytkowane i szybko dywizjon został przebrojony w samoloty typu Mosquito. Po wylądowaniu w lotów Bakalarski 29 stycznia 1945 r. został przydzielony jako instruktor lotów w Szkole Pilotażu Podstawowego nr 16.

Korzenie

Franciszek Bakalarski był wujkiem mojej mamy. Został odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari Nr 10761 klasy V, trzykrotnie Krzyżem Walecznych, dwukrotnie Medalem Lotniczym i brytyjskimi odznaczeniami pamiątkowymi. Po zwolnieniu ze służby z powodzeniem prowadził hotel w Blackpool. Był zdolnym przedsiębiorcą. Ożenił się z Brytyjką, miał dwóch synów i córkę. Wielokrotnie odwiedzał Białą Podlaską, w tym moją rodzinę. Zawsze znajdował czas, by zajrzeć do naszego domu na kawę i pogawędkę. Jak wspominała mama, wujek Franciszek był człowiekiem o mocnym i silnym charakterze, który nie pozwalał mu zerwać więzi z rodzinami lzbickich (rodowe nazwisko mojej mamy) i Bakalarskich, a także z ukochaną Białą Podlaską, gdzie spędził dzieciństwo. Moja babcia, Janina Pytka, przed wojną chodziła z Franciszkiem do jednej klasy Szkoły Powszechnej i wspominała, że już wtedy na tle rówieśników wyróżniał się ostrym, bitnym charakterem. Franciszek Bakalarski zmarł 10 stycznia 2013 r. w wieku 94 lat. Nie spisał swoich wspomnień. ◀

* Inny wielki Polak, przyjaciel Franciszka Bakalarskiego, pilot Dywizjonu 304., Bohdan Ejbich wielokrotnie namawiał go na spisanie wspomnień. Bez skutku. Z Bohdanem Ejbichem korespondowałem wiele lat. Napisał kilka wspólnych książek, był wspólnym człowiekiem i wielkim pilotem. Odszedł 17 grudnia 2013 r. w wieku 97 lat. Bardzo mi go brakuje.

Edyta Tyszkiewicz
fot. Grzegorz Doroszuk

W sklepie z pamiątkami

Nie od dziś wiadomo, że do założenia biznesu wystarczą pieniądze, dobry pomysł i chęci. Jednak żeby w nim przetrwać i utrzymać się na rynku, ciągle trzeba się rozwijać, zmieniać, iść z duchem czasu i wychodzić naprzeciw potrzebom klientów. Dzięki takiemu podejściu firma Wiesławy i Marcina Kalickich już od ponad dziesięciu lat istnieje na rynku białskim.

Działalność prowadzona przez Kaliczków z EcoTrendy – niewielki sklep z pamiątkami, gdzie chyba każdy może znaleźć coś dla siebie. Kiedy zaczęli, na rynku białskim brakowało takiego asortymentu. Dlatego właśnie ich sklep szybko znalazł uznanie wśród białczan. Sklep prowadzi głównie Wiesława, absolwentka WSP w Krakowie, ale bez pomocy męża, na co dzień muzyka, na pewno nie dałaby sobie rady. – Tu nie tylko chodzi o pomoc. My naprawdę lubimy robić coś razem, ale wiadomo, nie zawsze jest to możliwe – przyznaje Wiesława. Kaliccy od dwudziestu lat tworzą szczęśliwą rodzinę, a to zapewne przekłada się na atmosferę, jaką tworzą w swoim małym sklepie.

Na początku było mydło

Kiedy Kaliccy zaczęli swoją działalność, nie było unijnych dofinansowań, a sklepów powstawało niewiele, dlatego łatwiej było o sukces. Ale oczywiście ważny był też pomysł. – Zaczęliśmy od mydeł i biżuterii. To był strzał w dziesiątkę, bo w Białej czegoś takiego jeszcze nie było. Pamiętam też, że na tę naszą biżuterię było ogromne zapotrzebowanie – wspomina Wiesława. Nie mniejszym zainteresowaniem cieszyły się ozdobne kolorowe mydła na wagę. Z czasem Kaliccy zaczęli poszerzać asortyment. W EcoTrendy pojawiły się ozdobne świece i świeczniki, a później upominki, takie jak ceramika ozdobiana reprodukcjami dzieł sztuki czy oryginalne wazy. Całkiem niedawno pojawiła się możliwość tworzenia i sprzedawania własnych wyrobów. – Od zawsze chodziło mi po głowie, żeby sprzedawać coś swojego. Taka możliwość pojawiła się, kiedy zmieniliśmy siedzibę. Przy pl. Wolności mam pracownię, w której mogę twórczo poszaleć – cieszy się Wiesława. To tu maluje anioły,

tworzy kartki świąteczne, dyplomy na różne okazje, wszystko w tak zwanym „międzyczasie”. – Klienci lubią patrzeć, kiedy coś tworzę. Lubią widzieć, że coś powstaje na ich oczach, że faktycznie dana rzecz jest dziełem czyichś rąk, a nie jest wyprodukowana w fabryce – wyjaśnia Kalicka.

Rękodzieło związane z Białą

Chęć tworzenia i sprzedaży upominków związanych z Białą Podlaską i okolicami była wynikiem potrzeby i w pewnym sensie znakiem naszych czasów. – Moi klienci coraz częściej poszukują dla swoich bliskich prezentów, które wiązałyby się z Białą Podlaską, zawierałyby elementy naszego miasta – mówi Wiesława. Pierwsze w EcoTrendach pojawiły się podkładki na stół ze zdjęciami Białej i Konstantynowa. Teraz można też kupić szkatułki, magnesy, a przed świętami Bożego Narodzenia również bombki. Wszystko to wykonywane jest techniką decoupage. Pani Wiesia chętnie przyjmuje też zamówienia na rękodzieło, które nie musi być związane z Białą. – Może to być na przykład bombka ze zdjęciem rodzinnym – wyjaśnia Kalicka, przyznając jednak, że w tym przypadku czuje większą presję. – Wiadomo, muszę wtedy trafić w gust konkretnego klienta, ale chcę, żeby miał możliwość wpływu na to, co powstaje. Chcę, żeby to miejsce inspirowało moich klientów.

Pani Wiesławie nie chodzi tylko o samą sprzedaż. Cieszy ją, kiedy jej klientki przynoszą jej zdjęcia swoich małych dzieł sztuki, by pochwalić się tym, co stworzyły w domu. W tym miejscu warto zaznaczyć, że oprócz gotowych upominków, w sklepie EcoTrendy można kupić przybory do decoupage'u. – Marzy mi się dużo większy asortyment, jeśli chodzi o akcesoria do ręk-

codzień, żeby móc kreować potrzeby klientów – przyznaje Kalicka.

Azyl dla klientów

Właścicielka EcoTrendów uważa, że każdy sklep jest odzwierciedleniem jego właściciela. Ona sama od zawsze lubiła nietypowe rzeczy, szukała ich i w dalszym ciągu zależy jej, by sprzedawać przedmioty oryginalne, których nie ma gdzie indziej. – Czasem sprzedaję do sklepu rzecz, która zapewne nie sprzeda się szybko. Liczę jednak, że trafi na nią właściwa osoba – mówi. – Wiem, że teraz jest era masówek i sieciówek, ale wciąż wierzę, że są ludzie, którzy chcą robić zakupy w takich miejscach jak mój sklep. Klienci kupujący upominki wychodzą z EcoTrendów z prezentami dekoracyjnie zapakowanymi przez właścicielkę. – Zależy mi, żeby klienci wychodzili ode mnie z ładnie wyglądającym, gotowym prezentem. W dodatku nie muszą za to dodatkowo płacić – wyjaśnia pani Wiesława.

Jej sklep jest swoistym azylem nie tylko dla niej samej, ale i dla klientów. Nie dziwi ich płynący z adaptera głos Janis Joplin, Beatlesów czy Niemena. To właśnie trzeszczące stare płyty i sama właścicielka tworzą klimat tego miejsca. – Mam jedną stałą zasadę. Uważam, że pracując z ludźmi, trzeba ich lubić. Trzeba lubić ludzi z ich wadami, dziwactwami, być otwartym i mieć cierpliwość. Czasem pewnie się zagalopowuję, ale zanim coś sprzedam, muszę poznać człowieka, dla którego będzie przeznaczony prezent – wyjaśnia Kalicka. Jej stałe klientki często wpadają do sklepu tylko po to, żeby zobaczyć, co nowego słychać i przy okazji porozmawiać. Nie zawsze coś kupują, ale budowanie więzi z klientami dla właścicielki jest bardzo ważne. – W moim sklepie mają się czuć jak w domu – mówi Wiesława. ◀

Światłocienie i półtony

Krótki dzień. Mało światła. Błoto i najwyżej kilka uschniętych liści na drzewach. To nie są wymarzone warunki do malowania. Tak przynajmniej sądzą niektórzy. Ale i w tak „nieatrakcyjnych” okolicznościach przyrodniczych, przy tak „niesprzyjających” warunkach pogodowych ktoś dostrzegł w moście malarski motyw, ktoś inny zakochał się w powyginanej i ledwo dostrzegalnej gałązce brzozy, jeszcze inny pędzel pieczołowicie odtworzył bieg ścieżki. Wielostronność. Wielospektralność. Widzenie. A może po prostu... wrażliwość?

Przełom listopada i grudnia to taki bury czas, o którym rzadko słyszy się coś pozytywnego. Królują wtedy rządy podagra, reumatyzm i przygnębienie. Właściwie postępuje się z tą późną, refleksyjną jesienią tak, jakby jej w ogóle nie było. Uczestnicy pleneru w Zaborku, studenci warszawskiej ASP, wycisnęli ten szary, smętny czas jak cytrynę. Efekty ich trzydniowej pracy białczanie i mieszkańcy nadbużańskich okolic obejrżeli w pierwszy czwartek grudnia w kościółku należącym do zaborkowego skansenu.

Znaleźć siebie w gołębniku

Kościółek to już nie obiekt sakralny, lecz muzealny. Obrazy to jeszcze nie dzieła

sztuki, lecz już jej godne reprezentacje. Bez żmudnych eksperymentów, bez błyskotliwego nowatorstwa, ale pełne czystych, ludzkich myśli. Opiekun młodych malarzy, artysta i wykładowca Akademii Sztuk Pięknych Stanisław Baj, zauważył, że niepostrzeżenie wytworzyła się w czasie wystawy atmosfera sacrum. – Razem z doktorem Arkadiuszem Karapudą, z którym też organizuję plener, prowadzę pracownię tzw. dyplomującą. Mamy w programie także plener studencki. Późna jesień, gdy w Zaborku jest przerwa w sezonie turystycznym, tworzy idealne warunki do malowania – tłumaczy malarz wybór miejsca. Wyjaśniając ideę pleneru, podkreśla: – Studenci, co jest szalenie

ważne w naszej pracowni i w dydaktyce w ogóle, różnią się. Nam nie chodzi tylko o malowanie obrazów, ale o wymianę myśli. Gdy tu przyjeżdżamy, każdy stara się znaleźć, zobaczyć coś, co jest dla niego wyjątkowe. Dla każdego to inny element. Jeden chłopak zobaczył to w ścianie wiatraka, inny – w gołębniku. I wtedy w malowaniu nie przeszkadza ani zimno, ani deszcz. Dlatego te obrazy są bardzo, uważam, prawdziwe. Są z tego miejsca.

Młodość i refleksja

Choć to już czwarty plener w Zaborku, wystawa pierwszy raz odbyła się w kościółku. Stanisław Baj był tym wyborem zachwycony: – To inicjatywa Kasi Okoń-Szczepaniak i jej męża, Tomka Szczepaniaka z Zaborka. Kapitalna. W ogóle młodość jest inspirująca. My stawiamy na młodych. Młodzi są nasi studenci, młodzi są muzycy, których zaprosiliśmy – białczanie, Maciej Michaluk grający na skrzypcach i pianista Piotr Mika. Romantyczna synteza sztuk rzeczywiście nadała ton wieczorowi w Zaborku. Białscy muzycy ilustrowali malarskie wizje swoich kolegów świeżo i naturalnie, jeszcze trochę nieśmiało, ale z pasją. – Jesienią

Gabriela Kuc-Stefaniuk

fot. Tomasz Szczepaniak

nie każdy się kwapi, by się gdzieś wybrać – mówił Stanisław Baj. – Tym bardziej chcieliśmy więc, żeby ludzie, skoro zdecydowali się przyjść na naszą wystawę, mogli czerpać z bogactwa sztuki. Stąd koncert, obrazy i spotkanie z literatem.

Porozmawiajmy

Z pewnością jednym z czynników, który skusił przybyć do przyjazdu na wystawę poplenerową, był przesył tzw. chrimansami. Jakby na przekór tendencji organizatorzy zadbali, by nikogo nie wprowadzać w atmosferę świąt, ale skłonić do zadumy. Nad życiem. Jego celem. Nad śmiercią. To – można powiedzieć – idée fixe Artura Cieślara, pisarza, dziennikarza, fotografa, wolnego słuchacza malarstwa z grupy Stanisława Baja. Nieczęsto ktoś jeszcze tak mówi o śmierci. Nieczęsto ktoś w ogóle chce o niej mówić. Rozmowa z autorem „Kobiety metafizycznej” była podsumowaniem spotkania. Zresztą, jak opowiadał Stanisław Baj, rozmowy były istotnym elementem trzech dni spędzonych w Zaborku: – Wieczorami dużo rozmawialiśmy, dyskusje ze studentami, nawet artystyczne awantury, to wszystko integruje. To jest życie.

Artur Cieślar opowiadał, między innymi, o „Listach do Małgosi”, książce, którą można nazwać pamiętnikiem żałoby po jego przyjaciółce, aktorce Małgorzacie Braunek. Ta ciepła, spokojna rozmowa z pisarzem pomogła odkryć zapomnianą prawdę: że aby w pełni się cieszyć świętami, trzeba najpierw zajrzeć w głąb siebie. Nie do katalogu z kolorowymi precjozami.

Podlaska energia

– Zachwylił mnie przepych tego miejsca. Wszystkiego jest tu dużo, ale to nie przytłacza. Byłem tu rok temu. Na co dzień maluję biedę: ubogie dzieci, odrapane drzwi, budynki. Ostatnio kurczowo trzymałem się tego tematu, w tym roku chciałem się rozmalować. To tak piękne miejsce, że niemożliwe jest nienamalowanie tu pejzażu. Wszystko tu ma swoją klasę i wartość. Jestem też pod wielkim wrażeniem pracowitości moich kolegów. Byliśmy dla siebie inspiracją, napędzaliśmy jeden drugiego – dzielił się swoimi refleksjami jeden ze studentów. Artur Cieślar również przyznał, że nadbużańska energia mu sprzyjała. Amarantowe wdzianka komercyjnych Mikołajów, elektroniczne dzwoneczki i choinka od połowy listopada z pewnością są lepiej widoczne niż światłocienie i półtony. Nie są jednak nasze. ◀

Małgorzata Brodowska
fot. archiwum

Śpiewane, migane

Z okazji Międzynarodowego Dnia Osób Niepełnosprawnych przypadającego 3 grudnia Polskie Stowarzyszenie Głuchych i Niepełnosprawnych Motyl przypomniało teledysk przełożony na język migowy. Wystąpili w nim udział funkcjonariusze służb mundurowych, okazując tym samym swoje wsparcie osobom żyjącym w świecie ciszy.

Przedstawiciele białskich służb mundurowych, w tym policji, straży miejskiej i pożarnej, zakładu karnego oraz ratownicy medyczni, wystąpili w najnowszym teledysku Polskiego Stowarzyszenia Głuchych i Niepełnosprawnych Motyl, przekładając na język migowy treść piosenki „Możesz wszystko” zespołu Tabb & Sound'n'Grace. Pomysłodawczynią przedsięwzięcia jest Agnieszka Bajbak, tłumacz i wykładowca języka migowego. – Pracownicy białskich służb mundurowych, podejmując się trudnego wyzwania, jakim jest miganie piosenki, pokazali, że ograniczenia nie istnieją. Ograniczenia są tylko w naszych głowach, ale wspólnie można je pokonać – podkreśla Agnieszka.

Oczy muzyki

Zdjęcia do teledysku powstawały latem. Nagraniami i montażem zajął się Krzysztof Kowalczyk. Premiera „Możesz wszystko” w języku migowym miała miejsce 23 września, kiedy obchodzony jest Dzień Osoby Głuchej. Przypomniana została w grudniu, w Dniu Osoby Niepełnosprawnej. – Taki był zamysł, aby nagrać tę piosenkę z okazji tych dwóch świąt. Teledyski w języku migowym powstają od czasu, kiedy przystąpiliśmy do projektu „Oczy muzyki – piosenki migane”. Realizujemy go od 2012 r. Zaangażowało się w niego wiele osób – mówi Bajbak. W najnowszym klipie chętnie wystąpili funkcjonariusze, podkreślając integracyjny wymiar tego przedsięwzięcia i uwrażliwienie społeczeństwa na problemy osób niepełnosprawnych. – Z wielką przyjemnością wzięliśmy udział w nagraniu teledysku. To bardzo cenna inicjatywa – zapewnia Jarosław Janicki, rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji w Białej Podlaskiej. – Migać tekst piosenki zgodził się komendant Dariusz Dudzik, ja oraz kilku innych funkcjonariuszy. Nauka języka migowego nie jest łatwa, choć tutaj były to raczej proste gesty, a pani Agnieszka nauczyła nas tekstu i wspierała podczas nagrań – dodaje.

Pracę na planie miło wspominają również strażacy. – To ciekawa przygoda. W nagraniach wzięli udział strażacy, którzy zgłosili się na ochotnika – wyjaśnia Zbigniew Łaziuk, komendant miejski Państwowej Straży Pożarnej. Dodaje, że nie pierwszy raz współpracowali z prezes stowarzyszenia Motyl. – Mam nadzieję, że nie koniec na tym. Chętnie będziemy uczestniczyć w kolejnych projektach – zapewnia.

Wszyscy migają

Dotychczas Agnieszka Bajbak przetłumaczyła na język migowy około dwudziestu piosenek. Jednak zawsze nagranie materiału uzależnione jest od otrzymania zgody twórcy. – Zawsze o nią występuję. Najczęściej otrzymuję pozytywną odpowiedź – mówi tłumaczka języka migowego. Do występów przed kamerą zmobilizowała wiele osób, w tym białską młodzież. Klipy kręcone były w różnych miejscach w mieście, w sklepach, na dworcu PKP, w parku Radziwiłłowskim. Ich tematyka także jest zróżnicowana. Obecnie w trakcie realizacji jest pastoralka w języku migowym przy współudziale uczniów i nauczycieli białskiej Szkoły Podstawowej nr 3. Teledyski stworzone w ramach projektu można obejrzeć na kanale YouTube, gdzie osiągnęły rekordową liczbę wyświetleń, a także na stronie internetowej Stowarzyszenia: psgin-motyl.blogspot.com. Jest też specjalna strona „Oczy muzyki” (oczy-muzyki.blogspot.com), na której Agnieszka zamieszcza ciekawostki ze świata ciszy. Są to różne informacje o niesłyszących, porady, jak prawidłowo rozmawiać z osobą niesłyszącą lub słabo słyszącą. – Zachęcam do oglądania naszych stron internetowych, a także profilu na Facebooku. Zapraszam też wszystkie chętne do współpracy osoby, zarówno wolontariuszy, jak i partnerów prowadzonych przez nas akcji – zachęca Agnieszka. Podkreśla, że nigdy nie znudzi się tłumaczeniem piosenek, bo to jej wielka pasja. Doceniamy. ◀



Projektant na budowie



fot. Grzegorz Doroszuk

Od wielu lat zajmujesz się projektowaniem wnętrz. Jak znalazłeś się w tej branży?

– Jakież 20 lat temu, na progu nowego etapu w życiu, zastanawiałem się, co ze sobą zrobić, a że od dziecka interesowała mnie architektura, a zwłaszcza wnętrza, zacząłem uczyć się prac wykończeniowych. To był rok 1992. Dwa lata później założyłem firmę budowlaną zajmującą się wykańczaniem wnętrz. Dopiero po kilku latach otworzyłem studio Styl i Forma specjalizujące się w projektowaniu.

Przeszedłeś długą drogę.

– Nie ukrywam, że tak. Jeśli chodzi o budownictwo, byłem całkiem zielony, kiedy zaczynałem. No może nie do końca zielony, bo miałem już za sobą budowę własnego domu. To było ważne dla mnie doświadczenie. Zrobiłem ten dom taki, jak chciałem, a nie taki jak wszyscy w 1989 roku.

Zacząłeś od wykańczania wnętrz, a skończyłeś na ich projektowaniu.

– Można tak powiedzieć. Dziś nie zajmuję się już wykończeniówką, a wyłącznie projektowaniem wnętrz.

Kiedy zacząłeś urządzać ludziom mieszkania, nie było to jeszcze ani popularne, ani modne. Można powiedzieć, że w regionie

przecierałeś szlaki w tej profesji. Łatwo było?

– Na początku lat 90. zawód projektanta wnętrz w naszych okolicach praktycznie nie istniał. Był architekt, który projektował domy, ale nie projektant wnętrz. By pozyskać klientów, pierwsze zlecenia robiłem gratis.

Co cię motywowało?

– Nie wiem, czy wyczułem nadchodzący boom, czy mi się po prostu udało wyczuć rynek. Kiedy systemy dekoracyjne zaczęły być popularne, zacząłem jeździć na szkolenia w Polsce i za granicą. Chciałem być jak najlepiej zorientowany w nowościach związanych z rozwiązaniami wykańczania wnętrz, ale też panujących trendów.

Ambitnie.

– Postawiłem sobie wysoko poprzeczkę. Zależy mi na wysokiej jakości wykonania i dokładnym zrealizowaniu tego, co zaprojektowałem. Dlatego proponuję nadzór nad wykonaniem projektu.

Co to oznacza?

– Chodzi o dopilnowanie zrealizowania prac budowlanych według projektu, który wykonałem. Ludzie często myślą nadzór nad projektem z nadzorem budowlanym,

a to zupełnie co innego. Ja po prostu dbam, by wszystko było wykonane zgodnie z moim zamysłem. Trudności pojawiają się wówczas, gdy ludzie zaczynają zmieniać detale projektu, co na koniec daje słaby, odległy od tego, co stworzyłem, efekt. Dlatego zdarza mi się, że biorę narzędzia i pokazuję, jak można zrobić to czy tamto.

Czyli nie tylko rysujesz, ale też bierzesz się do fizycznej roboty?

– Też. Ale przede wszystkim udowadniam, że się da. Nie wszyscy budowlancy stawiają sobie za cel podnoszenie kwalifikacji. Ludzie mają tendencję do chodzenia na łatwiznę. Po co robić tak jak jest w projekcie, jeżeli można to zrobić „po swojemu”?

Umiejętności budowlane przydają się do projektowania?

– Wiedza budowlana jest bardzo ważna, jeśli nie najważniejsza w projektowaniu. Staram się nie dać zaskoczyć nowym myśłem technologicznym, nowym rozwiązaniom. Świadomość bycia kompetentnym jest dla mnie najwyższym priorytetem.

Ta idea nadaje kierunek twoim działaniom? To twoja myśl przewodnia?

– Tak. Od dzieciństwa mam fiksację na

precyzję i dokładność. Obsesyjnie śledzę nowe trendy i rozwiązania. Nie pozwalam sobie, by coś mnie zaskoczyło, dlatego ciągle się uczę.

Czyli jakość jest dla ciebie najważniejsza?

– Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że można coś zrobić niedokładnie. Czerpię satysfakcję i z realizacji projektu, i z zadowolenia klienta. Nigdy nie projektuję pod siebie. Klientowi nie mówię, że ma być wyłącznie tak, jak ja sobie wymyśliłem wnętrze. To inwestor ma się dobrze czuć w swoim mieszkaniu, nie ja. Ja mam mu to zapewnić.

Nie narzucasz nikomu swojej wizji.

– Jeśli ktoś angażuje projektanta, oczekuje, że padnie z jego strony jakaś konkretna propozycja. Dlatego z jednej strony staram się wyczuć przestrzeń, którą mam urządzić, przewidując, gdzie zaaranżować miejsce do odpoczynku, gdzie postawić sprzęt z muzyką, jak ustawić meble w kuchni i w pokojach. Przede wszystkim jednak staram się poznać ludzi, którym wnętrza projektuję. Uważnie słucham tego, co o sobie mówią, jakie życie prowadzą. Jak spędzają czas wolny, czy słuchają muzyki, czy czytają książki, czy mają dzieci, zwierzęta... O wielu sprawach trzeba porozmawiać, wiele tematów poruszyć, by poznać ludzi, dla których się pracuje.

Widzę, że wnikliwie obserwujesz sytuację, obserwujesz klienta. Powiedz, skąd czerpiesz inspiracje, wizje, pomysły?

– Kocham tworzyć, uwielbiam swoją pracę, a inspiracja przychodzi, kiedy słucham muzyki, na spacerze z psem, w jakimś ciekawym miejscu. Nie omijam też Internetu. Ostatnio rozmawiałem z przedstawicielem pewnej firmy zajmującej się produkcją tapet. Opowiadał mi o projektantach tej firmy, którzy tworzą wzory inspirowane fragmentami budowli sfotografowanych podczas podróży po świecie. Jakiś filar, jakieś załamanie... To są bodźce, dzięki którym powstają rzeczy nowatorskie. Kwestia tego, by dostrzegać detale i potrafić je twórczo wykorzystać.

Dobry słuchacz z ciebie, wnikliwy obserwator, do tego z indywidualnym podejściem do klienta...

– Bo człowiek jest najważniejszy! Chcę zapewnić ludziom takie wnętrza, w których miło będą się czuć.

A jakie są twoje inne zainteresowania?

– Kocham jazz i starego rocka. Moją pasją są też książki, no i mój pies. Dzięki niemu mam czas na przemyślenia. Codziennie pokonujemy ponad 10 km. Spaceruje z przyrodą. Wyjście poza ramy urbanistyczne pozwala mi odpocząć, złapać oddech. Najchętniej spędzam jednak czas z moją cudowną rodziną. Ona jest sensem mojego życia i motorem działania. To dla nich żyję. <

OLSZEWSKA

HAIR DESIGN



Rośnijcie,
rozdawajcie się,
płowiejcie,

PORADZIMY!

ul. Terebelska 60B/22 (pawilon)
Biała Podlaska



Plac Szkolny Dwór 23
21-500 Biała Podlaska
733 516 554
KARMA



Smaczny wehikuł czasu

Gdzie zjeść smaczne i tradycyjne danie, a do tego niekoniecznie upichcone we własnej kuchni? Takie miejsce powstało niedawno w Białej Podlaskiej. Warto do niego zajrzeć, by przypomnieć sobie smak potraw z dzieciństwa. Smacznych potraw.



Małgorzata Tymoszek
Fot. Grzegorz Doroszuk

Według naukowych badań o stosunku człowieka do jedzenia decyduje wiele drobiazgów. I kultura, i inteligencja, i wykształcenie, ciekawość, poszukiwanie nowych wrażeń, a także właściwie funkcyj-

jące narządy smaku, węchu, wzroku i słuchu. Możemy jeść po prostu po to, by zaspokoić głód. Albo dlatego, że kochamy jeść. Jakikolwiek będzie powód, i tak zawsze będą mu towarzyszyć emocje. Moja ostatnia kulinarne przygoda pozwoliła mi

przypomnieć sobie i zapamiętać na nowo smaki z dzieciństwa. Każdy nosi w sobie takie wspomnienia. W moim przypadku to kuchnia babci i ogromny, tłusty kotlet mielony z ziemniakami z wody z odrobiną koperku i buraczkami na ciepło.

krzesłami. Solidny blat stołu w kolorze drewna z klimatycznymi, kolorowymi bieżnikami zaprasza samym wyglądem do jedzenia. Jasny bar. Właśnie ta biel uczyniła to miejsce bardzo przestrzennym. Kolorowa wykładzina dopełnia ten wystrój. I pomysł dla dzieci, które zazwyczaj wcześniej niż my kończą posiłek. Dla nich jest kącik do zabawy. Dodatkowy punkt za stonowaną kartę z menu i catering.

Zatrzymać smak

Czasami tak bywa, że nie oczekujemy spektakularnych kulinarnych wrażeń. Wręcz przeciwnie, mamy ochotę na tradycyjny posiłek, prosty i syty. Znalazłam takie miejsce. To Gary, Michy przy ul. Janowskiej 14 (prawie vis-a-vis „babskiego ryneczku”). Właśnie to miejsce przywołało moje smaki zapamiętane w dzieciństwie.

Wychodzę z założenia, że oprócz śniadania, właśnie dobry obiad w ładnym wnętrzu jest inwestycją w dobre samopoczucie na cały dzień. Dobre jedzenie w towarzystwie miłych ludzi stanowi też naturalne źródło mocy. I uwaga: w tym miejscu nie mam najmniejszych wątpliwości co do uczciwości gastronomii. Samo czekanie na posiłek już nam sygnalizuje, że w tej restauracji nie trzaskają drzwiczki kuchenki mikrofalowej.

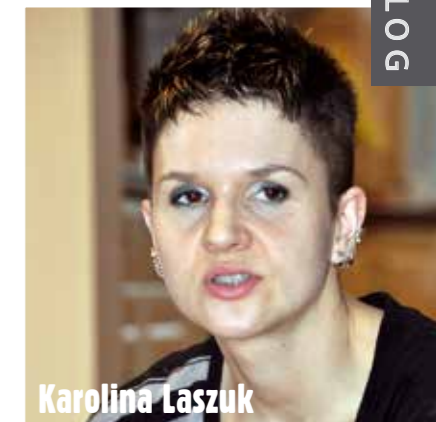
Niech żyje minimalizm

Wnętrze Garów, Michy należy do kategorii tych użytecznych, kuchennych i jednocześnie dających ukojenie. Dużo bieli włącznie z kuchennymi drewnianymi

Między altruizmem a egoizmem

Nie wiem, gdzie kończy się myślenie o innych a zaczyna dbanie o siebie. Staram się jednak każdego dnia dążyć do znalezienia złotego środka. Zadanie to zawsze wydawało mi się trudne. Zwłaszcza w przypadku osób, na których mi zależy. Ilekroć koncentruję się głównie na moich potrzebach, po pewnym czasie odczuwam ogromny żal, a i relacje na tym cierpią. Zwykle podchodzę bardzo krytycznie do swoich wad. Kiedy narastają konflikty wewnętrzne dotyczące pogodzenia dobra najbliższych i własnego, popadam w skrajną niechęć do siebie. Obwiniam się za to, że zamiast dawać, dbam jedynie o własne samopoczucie. Wychodzi więc na to, że lepiej czuję się, kiedy w stosunku do rodziny przedkładam jej dobro nad osobiste korzyści. Wszystko jednak w granicach rozsądku. I tu właśnie pojawia się problem z wyznaczeniem tych granic. Umartwienie się wcale nie jest zdrowe i na dłuższą metę prowadzi do rozgoryczenia, frustracji i złości wyładowywanej potem na tych, dla którym się tak poświęcamy. Pozbawiając się więc własnego szczęścia, odbieramy naszym ukochanym szansę na doświadczanie radości wspólnie. Możemy też wyrządzić wiele szkody, wychowu-

jąc dzieci tak, by były obojętne na ludzkie potrzeby. Dlatego też altruizm powinien sięgać tam, gdzie dawanie innym sprawia nam satysfakcję. Jeśli w kontakcie z drugim człowiekiem zaczynamy czuć się pokrzywdzeni, przygnębieni czy źli, to warto przyjrzeć się, czy nie zapomnieliśmy o własnych przyjemnościach. Ważne też, by nie robić nic wbrew sobie jedynie dlatego, że ktoś tego od nas oczekuje. Jeżeli inna osoba nas kocha i szanuje, to zrozumie, że czasem odmówimy jej z ważnych dla nas powodów. Powinno to działać również w drugą stronę. Zarzucając komuś brak poszanowania lub opór wobec naszej woli, spróbujmy przyjrzeć się swoim zachowaniom i szczerze sobie odpowiedzieć na pytanie, czy to aby nie my robimy coś wbrew innym. Może to dlatego bronimy się przed tym, czego od nich oczekujemy. Altruizm nie jest bowiem uległością leżącą na jednym krańcu kontinuum. Tak samo jak asertywna odmowa nie oznacza od razu pobudek egoistycznych, które stanowią drugi koniec tej skali zachowań. A zatem trzeba starać się oscylować gdzieś pośrodku, czasem wychylając się w jedną lub drugą stronę. Nikt przecież nie jest doskonały. ◀



Karolina Laszuk

Umartwienie się wcale nie jest zdrowe i na dłuższą metę prowadzi do rozgoryczenia, frustracji i złości wyładowywanej potem na tych, dla którym się tak poświęcamy.

INTI SPORT

Wszystkim naszym obecnym i przyszłym Klientom,
wspaniałych i pełnych radości
Świąt Bożego Narodzenia,
a w Nowym Roku
pasma sukcesów i doskonałej kondycji
życia

INTI SPORT
Twoje sklepy sportowe

Biała Podlaska, Pl. Szkolny Dwór 26, tel 83 342 00 12
Terespol, ul. Sienkiewicza 16 lok. 3, tel 83 342 00 14

DYŻURY APTEK

Biała Podlaska ul. Janowska 9	24 h	CAŁODOBOWA
Biała Podlaska ul. Sidorska 2K	24 h	CAŁODOBOWA
Międzyrzec Podlaski ul. Warszawska 17	24 h	CAŁODOBOWA
Terespol ul. Wojska Polskiego 85A	7-22	7 dni w tygodniu
Terespol ul. Sienkiewicza 16/2	7-22	7 dni w tygodniu

Nasze Apteki

BIALSKI BAL KARNAWAŁOWY

23 stycznia 2016 r.

organizatorzy: BPIG, Międzygminne Centrum Kultury, Białe Podlaskie

Restauracja „ANNA” i sala BCK, ul. Brzeska 41
informacje: tel. 501-616-333

Janusz Maleńczuk z zespołem PASSAT

OLGA SZOMAŃSKA KOLEĐOWA



w programie:
najpiękniejsze polskie koledy i pastorałki
akustyczne wersje największych przebojów ANNY GERMAN oraz PIOTRA RUBIKA

27 grudnia 2015 r., godz. 19.00

Parafia p.w. Błogosławionego Honorata Koźmińskiego

ul. Terebelska 50 A, Biała Podlaska



WSTĘP WOLNY

31.12.2015
START 20:00

www.facebook.com/gramofonklub

KLUB GRAMOFON ZAPRASZA NA:

TANIEC NA BALECIE
SYLWESTER
2015/16 NOWY ROK

DOLACZ DO WYDARZENIA NA FACEBOOKU
I WEJDZ NA SYLWESTRA ZA JEDYNE 15 ZŁ

SZAMPAN DO KAŻDEJ REZERWACJI
MOŻLIWOŚĆ WNIOSZENIA WŁASNEGO JEDZENIA

HOUSE, DANCE, POP, HIP HOP, R&B, LATA 80-90

BILETY: LISTA FACEBOOK - 15 ZŁ / POZOSTALI 20

REZERWACJE I INFORMACJE POD TEL. 509 335 545

► Do 6 stycznia w Galerii Podlaskiej przy ul. Warszawskiej 12 można oglądać prace składające się na wystawę „InSPiracje”. Prezentuje ona twórczość malarską pracowników Instytutu Sztuk Pięknych UMCS w Lublinie.

Dorobek malarski pracowników Instytutu Sztuk Pięknych to konglomerat wielu odmiennych (czasem dość skrajnych) postaw twórczych, zarówno w obrębie technik i konwencji malarskich, jak też w zakresie poruszanych tematów: od krytycznego na-

mysłu nad rzeczywistością społeczną, poprzez interpretację natury aż po realizację metamalarskie, gdzie forma staje się treścią. Galeria czynna jest codziennie (oprócz sobót) w godz. 8.00-16.00 oraz w niedzielę w godz. 10.00-16.00. ◀

POMAGAMY DZIECIOM I MŁODZIEŻY Z AUTYZMEM

Wspólny Świat liczy na Twojego podatku

1%

Stowarzyszenie Pomocy Młodzieży i Dzieciom z Autyzmem,
ul. Pokoju 22, Biała Podlaska

KRS 0000275016



15 grudnia 1933 r.

„Pożegnanie 9 pułku artylerii lekkiej. W początku listopada opuściło nasze miasto dowództwo i dwa dywizyjony 9 p. a. I. przeniesione rozkazem D.O.K. IX na nowe miejsce postoju, a mianowicie do Siedlec. Było to na pewno dla naszego miasta jak i całego powiatu wielką przykrością i stratą. Zżyliśmy się z 9 p. a. I., uważaliśmy go za stałą władawą naszą naszego społeczeństwa bialskiego, współżyliśmy z nimi w największej harmonii i zgodzie, to też nic dziwnego, że cała Biała z wielkim żalem rozstawała się z naszymi dzielnicami i sympatycznymi artylerzystami.”

„Kronika. W nocy 90 na 10 b. m. popełniono kradzież u Biegosińskiego Tomasza podof. 34 p. p. zam. przy ul. Narutowicza 17. Skradziono aparat fotograficzny, 6 par bielizny i inne drobniaki łącznej wartości około 220 zł”

21 grudnia 1936 r.

„Rozwój akcji Pomocy Zimowej Bezrobotnym na terenie miasta Białej Podl. Akcja spotkała się z żywym zainteresowaniem społeczeństwa bialskiego. Poza zbiórkami ulicznymi (...) Wydział Wykonawczy Miejskiego Obywatelskiego Komitetu P.Z.B. przeprowadzi w najbliższych dniach wśród rolników zbiórkę zboża, poza tym przeprowadzona będzie jeszcze przed świętami zbiórka odzieży. Trzeba podkreślić obywatelskie ustosunkowanie się niektórych osób do całej akcji (...). W pierwszym rzędzie wymienić należy: Beranka Tadeusza, który ofiarował 300 kg. mąki; Adama Czekalińskiego, mierniczego przysięgłego, który złożył ofiarę 150 zł. w gotówce; Izaaka Piżycy, który bezinteresownie udzielił pomieszczenia w koszarach przy ul. Brzeskiej na zorganizowanie betoniarni miejskiej w celu zatrudnienia bezrobotnych. (...)

„Kursy narciarskie. Bezpośrednio po pierwszych opadach śnieżnych, umożliwiających jazdę na nartach, będą organizowane kursy wyrobu nart i jazdy na nartach przez Komendę Obwodu P.W. i W.F. Z kursów tych będą mogli korzystać członkowie K.M.W. [Kół Młodzieży Wiejskiej] z rejonu Horbów, Piszczac, Biała Podl. i Janów Podl. Wobec powyższego zainteresowani winni już teraz przygotować sobie deski do wyrobu nart (najlepiej jesienne), kije leszczynowe, ciepłe i lekkie ubrania itp. O szczegółowe informacje należy się zwracać P.Z.M.W. w Białej Podlaskiej.”

„SZKŁO I NACZYNNIA Anna Sadowska Biała Podlaska, ul. Warszawska 1 poleca w dużym wyborze: SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSE,

NACZYNNIA KUCHENNE ORAZ OZDOBY NA CHOINKĘ. OSTATNIE NOWOŚCI WARSZAWY. Efektowne podarki na gwiazdkę. – Ceny umiarkowane.”

15 grudnia 1937 r.

„Wzmogła działalność Komisji Sanitarnej w okresie przedświątecznym. Jak się dowiadujemy, w okresie poprzedzającym święta Boż. Narodz., a więc w czasie wzmogonych zakupów artykułów spożywczych, rozwinięciem intensywną działalność miejscowa Komisja Sanitarna (Komisja Ochrony Zdr. Publ.). Lotne oddziały Komisji, zorganizowane do-raznie z przedstawicieli Urzędu Starościńskiego, Zarządu Miejskiego, Rady Miejskiej i Policji Państw., będą dokonywać przeglądu artykułów spożywczych w sklepach, sklepikach, straganach i na targowicy, zwracając jednocześnie uwagę na stan sanitarny miejsc sprzedaży.”

18 grudnia 1938 r.

„Co zobaczymy i usłyszymy na placach w Białej Podl. w okresie świąt Boż. Narodz. Według krążących pogłosek mieszkańcy Białej Podl. będą mieli w okresie świąt Bożego Narodzenia szereg atrakcji o niepoślednim znaczeniu tradycyjnym i kulturalnym. Oto oprócz tradycyjnej choinki na środku skweru przed Zarządkiem Miasta, także choinki mają być ustawione – przy Targowicy i na Woli. Projektuje się urządzenie przy choinkach w okresie Świąt i Nowego Roku małych koncertów.... Jeśli tylko te projekty nie zaginą w sferze jakichś „przeszkód i nie przewidzianych okoliczności” – Biała Podl. zrobi dzięki ludziom dobrej woli jeszcze jeden krok w kierunku wzmaganą swej kultury społecznej. (...)

„Bialskie obrazki. Szczególni amatorzy kurzego mięsa zamieszkują podobno na Woli w okolicy ul. Ługowej i Górnej, bo jak wersja niesie, policja znalazła tam w jakimś tajemniczym schronie, ponad 200 kur w beczkach. Oczywiście kury były należycie sprawione i zasolono. Podobno amatorów owych zaproszono na bezpłatny wikt więzienny. Ciekaw, czy przygotowany prowiant będą konsumować?”



31 grudnia 1922 r.

„Także ofiarność. Proseni jesteśmy o zaopiniowanie do tego bialskiego kupca, który nie poddając się wymierzony przez „komitet dla urządzania choinki żołnierzom” ofiary w wysokości kilku butelek wódki, ofiarować chciał zaledwie jedną tylko butelkę (czego zresztą zbierający nie przyjął), aby w uznaniu swego niewłaściwego kroku zechciał złożyć na cele dobroczynne taką kupę marek, która przypadałaby od niego jako tylko 1/2 % od

posiadanych dolarów, majątku i rocznego obrotu. Ofiarę tę prosimy zakomunikować „Podlasiakowi”, gdzie, ile, komu i na jaki cel złożono. (...)”

„Lekceważenie podróży. Zwracamy się z prośbą czy to do p. Zawiadawcy stacji Biała Podl. czy do Dyrekcji Wileńskiej, aby postarali się o ścienne rozkłady jazdy najbliższych dyrekcji kolejowych, jak to jest przyjęte na wszystkich stacjach kolejowych na zachód od Białej. (...) Odmownie dużo osób ma interesy do Lublina, jako siedziby Województwa, a ciężko się dowiedzieć, jak pociągi przychodzą i odchodzą. Zdałoby się i do Białej przybliżyć zachód.

Jeszcze w innej sprawie. Na stacji jest dość brudno i powinno się zamiatać, ale nie przed samym przyjazdem kuriera, jak to było przed kilku dniami i nie bez okropienia wodą, jak jest wskazanem ze względów higienicznych. Sądzimy, że tych parę słów wystarczy.”

21 grudnia 1924 r.

„W mieście naszym daje się zauważyć nawrót do ożywienia życia towarzyskiego. Ruch w restauracjach i cukierniach, w których często ich właścicielki bawią się plotkami i obmową swych własnych gości, zmalał bardzo. Natomiast poczyna się rozwijać życie towarzyskie w stowarzyszeniach, dzięki b. rozumnej zasadzie zabawy oszczędnej i niezbyt srogich wymagań co do strojów i toalet. Coraz wyraźniej zarysowuje się oblicze karnawału.... Na Sylwestra czynione są już przygotowania – „Sokolnictwo” więc nie śpi. O balach też dochodzą nas różne wieści. Spiesz się, bo karnawał obecny będzie dość krótki – 25 lutego kalendarze głoszą środę popielcową...”

„Nadużycie w tut. Urzędzie Pocztowym. Na skutek popełnionych kradzieży listów amerykańskich został przez Urząd Prokuratorski aresztowany funkcjonariusz tut. Urzędu Poczty, niejaki Piotr Dumin, który w swoim czasie był już za pewne nadużycie wydalony ze służby.”

13 grudnia 1925 r.

„Cukiernia Nowa” otwarta 6 grudnia 1925 r. w Białej Podlaskiej przy ul. Reformackiej 5 pod fachowym kierownictwem długoletniego pracownika cukierni kijowskich i odeskich, poleca wszelkie wyroby w zakresie cukiernictwa wchodzące, jak: torty, czekoladki, baumkucheny, pomadki i t.p. po cenach umiarkowanych. Przy wcześniejszych zamówieniach świątecznych – 18 % rabatu”

5 grudnia 1926 r.

„Prezydent Mościcki w Białej Podl. Dnia 26 um. Pan Prezydent przybył do Białej Podl., celem zwiedzenia Podlaskiej Wytwórni Samolotów. Pan Prezydent był podejmowany śniadaniem przez Dyrekcję, na którym byli obecni, oprócz orszaku Dostojnego Gościa i dyrekcji fabryki przedstawiciele miejscowych władz wojskowych i cywilnych z p. starostą Rudnickim i p. pułkownikiem Bittnerem na czele. Pana Dobroczytna zęgną kompania honorowa 34 p.p. wraz z orkiestrą.” ◀



Luxa

sklep udanych zakupów



Biała Podlaska, ul. Piłsudskiego 9